

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 127.

Prenumerata w Warszawie
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 1 marca 1862 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM V.

TREŚĆ NUMERU.

Elżbieta Drużbacka (z drzeworytu). — Kronika tygodniowa. — Dawne ubiory i uzbrojenia (cztery drzeworyty) ciąg dalszy. — Kaplica w Podhorcach (z drzeworytu). — Kilka kartek z wycieczki po kraju (z drzeworytu). — Księżol niedyś parałalny w Piotrkowicach (z drzeworytu). — Szachy. — Rebus. — Zamek krakowski (dokończenie). — Widziadło szczęścia, powieść późniejsza, przez Felicjana, (ciąg dalszy). — Próba satyry (poetyka). — Krzyż w lesie (poetyka). — Korrespondencya od redakcyi.

Elżbieta Drużbacka.

Smutny był stan oświaty polskiej w końcu XVII i na początku XVIII wieku. Gasa pomalu pochodnia, która tak jasno przyswiecała polskiej ziemi przez cały wiek XVI. Tylko co umilkły szorstkie a pełne dźwięki liry Samuela ze Skrzypny Twardowskiego, i miększe, ogladniejsze, ale mniej silne struny Zbigniewa Morsztyna; arcydzieło Wacława Potockiego, słynna po dziś dzień epopeja o wojnie chocimskiej, spoczywało w ukryciu głębokim, nieznane wcale światu. Uczni ówczesni, w mowie nastrzępionej łaciną, sadzili się na szumne panegiryki ku czci możnych panów; inni układali herbarze, jak gdyby pragnęli wspomnieniem chwalić praojców, zachęcać do czynu gnuszące pokolenie.

Wiele powodów składało się podówczas na uspienie i uposiedzenie ducha Polaków, a najważniejszym z nich był niewątpliwie skrzywiony kierunek w wychowaniu młodzieży. Wpływały niemniej na ten upadek długie, zacięte wojny, które od lat wielu trapiły krainę polską. Nie oschła jeszcze ziemia ze krwi po najazdach Karola Gustawa, za nieszczęśliwych rządów Kazmirza Wazy; zgliszczą zamków i dworców szlacheckich sterczały jeszcze w popiele; zrażony kmiotek ledwie że się ośmielił jąc swobodnie pluga i roli, gdy sroższy jeszcze pożar zagroził znękanemu krajowi. Głównia domowej wojny, zatłona w Polsce skutkiem zatargów pomiędzy stronnikami Augusta II i Stanisława Leszczyńskiego, roznosiła dokoła zgubny pożar.

Nie wszędzie jednak w Europie objawiało się wówczas tak zgubne ducha uspienie. Francya, pod berłem Ludwika XIV, jaśniała pełnym blaskiem wschodzącego światła. Genialny Kornel zastosował do francuzkiej sceny formę dramatów greckich i położył kamień węgielny tragedyi, w której żaden z następców nie

zdołał mu dorównać. Współczesny z nim Molier stworzył komedyą, na bardziej narodowej opierając ją podstawie, ośmieszał bowiem błędy właściwe francuzkiemu społeczeństwu. Boileau bronił satyry chłostał złe nurtujące w narodzie; Lafontaine w skromnej formie bajki rzucał ludziom w oczy wielkie moralne prawdy. Duch francuzki zajaśniał nagle nad Europą świetnym promieniem, a z onego ogniska wszystkie narody jęły na wyścigi czerpać wzór i pod-

nię: było to koniecznym następstwem rzeczywistej wyższości, która ma w sobie pociągającą siłę.

Ta siła stanowczo oddziałała na zewnątrz. Odblask nadsekwanskiej oświaty rozbiegł się po całej Europie i jak iskra elektryczna pobudził do ruchu i naśladownictwa najdalej jej krańce. I Polska uczyła ten przeważny wpływ, równo z innymi narodami. Mąż wielkiej nauki i zacnych chęci, Stanisław Konarski, pijar, bolejąc szczerze nad pomrokiem zaścietającym polski widokrag, a nie widząc innej rady na zapobieżenie złemu, zajął się czynnie zaprowadzeniem reformy w wychowaniu polskiej młodzi. Założył konwikt pijarski (Collegium nobilium) dla synów możniejszej szlachty, wygnął Alwara, a pragnąc podźwignąć język skażony łaciną, skreślił uczone dzieło o poprawie błędów w krasomówstwie. Zasiawał on ziarno dla przyszłości, które w Stanisławowskich dopiero czasach miało obfite wydać plony.

W owym ogólnym uspieniu, wbrew obyczajom narodu, ujrano lutię w słabiej dłoni polskich niewiast, które dotąd poprzestawały chętnie na wrzeczonie, nie śmiając wychylić głowy po za szczupły obręb domowych progów. Niemieryczowa kresliła hymny religijne, a obznajmiona z obcą literaturą, przekładała gładko francuzkie powieści. Franciszka z ksiąząt Wiśniowieckich Radziwiłłowa, małżonka wielkiego hetmana litewskiego, zasłynęła też niepospolitą nauką. Na teatrze w Nieświeżu, grono modnych pań i światowej młodzieży przedstawiało komedyje i tragedye jej utworu. Prace Radziwiłłowej, dalekie od polskiej prostoty, osnute na obcych wzorach, nie wywarły na ogół żadnego wpływu; przecież zaprzeczyc jej nie można łatwości we władaniu piórem, zwłaszcza gdy pomnimy na czas w którym pisała.

Trzecią nakoniec z piszących podówczas niewiast, która nietylko że przeszła współzawodniczkę swoją, ale jako jedyna gwiazda zabłysnęła samodzielnym światłem na polskim widokregu, była Elżbieta z Kowalskich Drużbacka. Myśl zdrowa i świeża, wykarmiona prawdą i szczerem uczuciem, wielka prostota w słowie, styl jak naówczas poprawny, czysty a dosadny, głęboka pobożność, zamilowanie w swoich obyczajach i obra-



ELŻBIETA DRUŻBACKA. (Rysował Łuszczkiewicz w Krakowie, podług ryciny znajdującej się w zbiorze p. Ambr. Grabowskiego).

zach, nakoniec wszechstronna a niepospolita nauka: oto zalety Drużbackiej. Pisarka obdarzona niemi w takim jak ona stopniu, byłaby w każdym czasie ciekawym i pożądanym zjawiskiem; cóż dopiero gdy ją postawimy w obec wieku w którym żyła? gdy się zastanowimy, jak potężną wolą musiała zwalczać niezliczone przeszkody w nabyciu światła, tak niedostępnego naówczas samym nawet mężom. Nie znając obcych języków, ani obcych wzorów, nasza Elżbieta czerpała natchnienie wprost z niewieściej duszy, miłującej gorąco Boga a prawdę. Widok rodzinnych gór, łąk i lasów, radował jej serce, podniecał wyobraźnię; obraz pięknej przyrody podnosił myśl jej do Boga, stwórcy wszelkich widzialnych a tak niepojętych cudów. Głębokie zastanowienie nad zblakaniem serc bliznich, budziło w jej duszy litość szczerą i wywoływało niekiedy z ust poetki gorzkie słowa, nie szyderstwa, ale żalu i boleści; nakoniec pełne mądrości podania biblijne, podnosiły w wyższe sfery natchnionego jej ducha i nadawały mu prawdziwie poetyczne namaszczenie. Świadczy to skreślony przez nią wierszem żywot króla Dawida, który mimo nieogładności i błędów cechujących tę epokę, należy do najcenniejszych ówczesnych utworów.

Mało szczegółów z życia Elżbiety Drużbackiej przeszło do potomności, co jeśli z jednej strony wiele zostawia do życzenia, przy dzisiejszym popędzie do badań psychologicznych, z drugiej strony budzi w nas prawdziwe zadowolenie. Zaczyna i ubłogosławiony być musiał żywot niewiasty, o której milczą ludzkie słowa: cnota bowiem niewiasty bywa cicha; zło tylko w niej rozlega się jakby dzwonek, którego odgłos powtarzają usta ludzkie w następne jeszcze pokolenia. Znane rysy z życia Drużbackiej, zawierają się w kilku zaledwie słowach. Wiadomo tylko że się urodziła w Wielkopolsce, w r. 1687, w domu Kowalskich. Przy matce, niewieście wyższego umysłu, nabrała od dzieciństwa ochoty do czytania książek; później bawiła czas jakiś na dworze Sieniawskiej, kasztelanowej krakowskiej; zaślubiona wreszcie Kazimierzowi Drużbackiemu, skarbnikowi żydaczewskiemu, osiadła z nim na Rusi Czerwonej, w wsi Rzemieniu, nad brzegami Wisłoki. Po rychłym zgonie małżonka, nie weszła już w powtórne związki, ale wychowywała jedną córkę, a gdy wiek nadwałił jej siły, przywdziałszy odzież zakonną, bez wykonania jednak wiecznych ślubów, zamieszkała w Tarnowie, w klasztorze panien bernardynek, gdzie dokonała pobożnie dni swoich, w sześćdziesiątym trzecim roku życia, dotknięta boleśnie przed zgonem stratą sześciorga drobnych wnucząt.

Oto i wszystko, co wskazują nam życiorysy znakomitej naszej pisarki. Nazbyt to mało, zaprawdę; rzadzibyśmy bowiem odgadnąć co rozbudziło w niewieściej jej umyśle tak gorące pragnienie światła, które z niemałym zapewne zdobyła trudem? co natchnęło jej serce taką miłością ku Bogu i bliźniemu, takim ukochaniem przyrody, taką czcią ku prawdzie, jakie odbijają na każdej stronicy jej pism, w których jeśli niekiedy uchybiła przeciw warunkom sztuki, za to nigdy nie grzeszy przeciw prawdzie, przeciw Bogu. Otóż więc, wczytawszy się bacznie w prace Drużbackiej, znajdujemy odpowiedź na te zagadnienia. Poetyczne jej natchnienie, wolne od chorobliwych uniesień, nie przyszło jej skutkiem doznanych zawodów, skutkiem walk stoczonych ze światem lub z obłąkaniem własnego serca. W każdym niemal jej słowie przebiega niezmacona pogoda ducha, jak błękit nieba powtarzający się w czystej powierzchni wody. Wiara i miłość były podstawą jej talentu; światło czerpała z góry, ludzi i przyrodę miłowała w Panu. Do Boga, jako źródła wszech rzeczy, odnosi ona każdą myśl, każde wrażenie. Gdy wielbi przyrodę w pięknym obrazie wiosny, dziękuje pełnym sercem Stwórcy, który przyodził ziemię tak cudownymi barwy; gdy maluje walkę żywiołów, korzy się przed potęgą Pana, który siłą ruchu utrzymuje równowagę, a z walki i zniszczenia wyprowadza nowe życie. Wszędzie umie ona dopatrzeć związku pomiędzy światem zewnętrznym, a objawioną w nim myślą Bożą, co jest niezaprzeczoną dowodem wyższego poetycznego natchnienia.

Poemat Drużbackiej p. n. *Cztery pory roku*, pełen świeżego wdzięku, ślicznie odbija obok ciemnych i napszonych utworów współczesnych; prostotą swoją przypomina on nieporównane pieśni liryczne Jana Kochanowskiego. Weźmy oto początek *wiosny*:

O złoty wieku w postaci dziecięcej,
Wiosno wesola—ty się pięknie śmiesz;
Wszystko twój ujdzie płocności niewinnej,
Czy chłodem dmuchasz, czyli ciepłem grzejesz,
Wolność jak dziecku—dla swojej zabawki,
Dzisiaj urodzone straszyc śniegiem trawki.

Ty okowaną i ściśnioną ziemię
Od tęgich mrozów, uwalniasz z niewoli,
Jak córka matki kochająca plemię,
Kajdany zimne rozpuszcza powoli,
Potem zaś bliższym ogniem gdy dosadzi,
Z lodowej wieży więźnia wyprowadzi.

Zielone lasy w cieniach rozmaitych
Z pięknych kolorów swe okrycia mają,
Insze na brzozech, insze w gajach skrytych,
Insze na drzewach niskich się wydają,
Insze na buku, grabinie i sośnie,
Insze na dębie, który sto lat rośnie.

Równą prostotą i urokiem technie wiersz napisany
na pochwałę lasów i miłego życia w ustroniu:

Lasy kochane, zielone chodniki,
Drzewa przyjemny szum dające z siebie,
Trawy, pagórki, biegnące strumyki,
Przy was niech mieszkam, choć o suchym chlebie.
Zdrowszy mi napój z waszych źródeł żywych,
Niż drogie trunki, gdy z rąk niezycziwych.
Jak ranna rosa swój rumieniec śliczny
Ukaże, rosa perłowe kropelki
Pozbiera, juźci pasterz okoliczny
Nie zaśpi ranka, a ptak śpiewa wszelki:
Ci trzody owiec pędzą między wrzosa,
Te mokre skrzydła otrzepują z rosy.

Jak w literaturze umiała Drużbacka przejść w środku skażenia, nie utraciwszy właściwego sobie wdzięku i prostoty, tak też i w życiu umiała uniknąć szerzącego się wówczas zepsucia. Już dwory nie dawały, jak niegdyś, przykładu starodawniej cnoty, już cudzoziemki, a mianowicie piękna małżonka króla Jana, zasiadłszy na tronie bogobojnej Jadwigi i Anny Jagiellonki, zmieniły dwór, ów niegdyś przybytek surowej obyczajności, w gniazdo intryg i plotek. Zepsucie spłynęło z góry na naród. Niewiasty polskie sprzykrzyły sobie skromną kądziel; ciche domowe ognisko nie wystarczało im, jak dawniej; zapragnęły świata i głośniejszej wrzawy. Świętość małżeńskiej przysięgi poszła w poniewierkę, a szeregienie się rozwodów, dla blahych i mało znaczących przyczyn, smutną dla obyczajów narodowych rokowało już przyszłość.

Pobożnie wychowana Drużbacka, bolała nad zaślepieniem i obłąkaniem ówczesnych niewiast; oburzało ją lekceważenie świętej przysięgi, a umiając poglądać trafnie na świat i ludzi, skreśliła nam dowcipny obrazek ówczesnego społeczeństwa. Na pół żartobliwie, na pół z gorzką ironią, opowiada jak osłonięta liśmi grabiny, podsłuchiwała poufną rozmowę pań światowych, jak widziała ich lży *krokodyle*, które oplakiwały urojone cierpienia. Jedna skarżyła się na męża, iż jak pies na łańcuchu siedzi doma, niedbały o jej zabawę. (*)

Jakże tu mieszkać z takim domatorem,
Co tylko wołom karmnym kręgów maca,
Zboże na targi wyprawuje worem?
Prostych to osób z taką rzędą praca,
Kawy w mym domu nie znajdzie trzech ziarenek,
Piwa mi z sérem każe zagrzać garnek.

Druga narzeka na skąpstwo małżonka, który żałuje pieniędzy na muszki, wstęgi i szpilki. Trzecia mniema, iż ma słusze do łez powody, albowiem nie zna co *robę* (rogówki) i nie bywa w stolicy:

Sejmów nie widzę, nie wiem gdzie Warszawa.
Choćby mi boków naszturgano w ciźbie,
Byłem raz była w senatorskiej izbie.

Gotowa zatem rzucić bez skrupuła gapia, który nie chce wiedzieć o blondynowych garniturach, nie wozi jej na asamble i dozwala aby paż w łatanych butach, niósł za jejmością powłoczysty ogon jej szaty. Czwarta niemniej ważną ma przyczynę do zerwania małżeńskiego węzła, albowiem:

Mój Borys nie chce sprawić mi bekieszy,
Takić jak teraz świat modny używa:
Aksamit ponso, podszyty marmurkiem,
Po szwach z massyfu bramowany sznurkiem.

Na widok takiego zgorzenia, zaczyna poetka wyznaje wstyd, że ją Bóg także stworzył białogłową, i ubolewa nad obłąkaniami, które, lubo ubezpieczone stulą od ponęt świata i zadzierzgnięte potężnym węzłem małżeńskiego stanu, nie czują przeciw ważności świętego powołania swego. Przemawia nakoniec gorzko:

Jest to żart z Bogiem, z świętymi igraszka!
Ołtarz podobno u nich gdańskim biurem,

(*) Wiersz p. n. „Skargi kilku pań światowych, dla jakich przyczyn z mężami żyć nie chcą.“

Przysięgać jawnie—bagetela, fraszka,
Ufając że się pięknych pereł sznurem
W zastaw złożonym, wypłatają z węzła.
Ciałać swobodne, lecz dusza uwięzła.

I w kilku innych wierszach satyrycznych, Drużbacka śmiało chłocze śmieszności swego czasu, nie pominając dwóch kompanij świeżo przybyłych z Paryża do Polski: kompanie Franc-massonów, którzy za bałamucili głowy kawalerom, i kompanie mopsów, w których tak zasmakowały modne damy, że żadna się nie ruszy bez pieska na obrzozy. Poznawszy życie dworskie i panujące w niem wady: próżność, nie-szczerość, zazdrość, wypowiada mu *waleć*, i wybiera się na życie spokojniejsze. W jednym z tych utworów kresli wyborny obraz dworu:

Teatrum ci to na rozliczne sceny,
Tu śmiech, tu żarty, juźci smutne treny,
Ten się uskarża iż został w afroncie,
Ta urażona słowem, płacze w kącie.

Inni tymczasem, opodal stojąc od siedzących panów,
zbierają ze wszystkich złośliwe wzorki:

Jeden drugiego w bok trącając rzeźce:
Patrz jak się za tą ogon długi wlecze,
Na tój opięto, kuso, graty stare,
Snać w wodzie stała, gdy jej brano miarę.
Ta jak zółw głową, albo bażant chwije,
Ta jak pod żaglem leci, gdy wiatr wieje,
Szum, szelest za nią: czy bies kogo niesie,
Czyli to zwierza uganiają w lesie?
Ta jak sikorka lub czeczotka drobna,
Ta z nóg wysokich do czapli podobna,
Za tą garb stoi okryty płaszczykiem,
Ta kształtna, jakby wielbłąd pod dywtykiem,
Ten w ogród cudzy musiał albo w żyto
Często zaglądać, że mu zebro zbito.

Skreśliwszy całą obłudę światową i czczość dworskiego życia, poetka takie ztąd wyprowadza wnioski:

Niech kto chce w życiu dworskiem smaki czuje,
Niech w odebranych zaszczytach goruje,
Niech się przechwala wielkimi fawory,
Niechaj mu wszystkie oddają honory:—
Mnie zazdrość, siedząc w kąciku, nie bierze,
Życie kochane, bez gminu, bez zgraje,
Życie osobne, że szczęśliwsze, wierzę.
Nikt mnie nie zdradzi, nikt mnie nie polaje,
Cisza spokojna, książka i robota,
Z temi rozrywka, gdy przyjdzie ochota.
Więc póki wola Boska żyć mi każe,
Póki śmierć mego imienia nie zmaże,
Póki grób z ciałem mém się nie powita,
Osobność kochać będę, z dworem kwita!

Poetka umiała głęboko wnikać w tajniki duszy i znała wszelkie jej słabości. W wierszu alegorycznym p. n. *Forteca od Boga wystawiona, pięć bramami zamknięta, to jest dusza ludzka z pięć zmysłami*, opisuje wybornie, jak Lucyfer wstępny bojem, równie jak i podstępem, usiłuje zagarnąć i obrócić w poddaństwo ową dziedzinę daną człowiekowi przez Boga. Uderza nas trafnością obraz duszy, w której rozgościły się szatańskie rzady.

Jakoż poznali nowych rządów skutki,
Prze Frymarczywszy wiarę na niewiarę,
Od twarzy Boskiej obmierzłe odrzutki,
W szpetną się wszyscy przybrali maskarę,
Rozum w szaleństwo, sumienie w rozpustę,
Obywatelów w szkapy twardo-uste.
Brykają śmiało, stojąc na obroku
Nieszczęsnej paszy, która je rozbodła;
Nieprawość piją, jak muł wodę w stoku.
Oni czuć nie chcą czartowskiego siodła,
Bezprawiom wszelkim wypuścili wodze,
Smakują wolność na przestroniej drodze,
Zostali niby lotrostwa jaskinia.
Bóg z serca wypadł, z sumienia, rozumu;
Nazwać się mogli wszech występków skrzynią,
Można ich równać do morskiego szumu,
Co żeglarzowi zdrowy słuch zagłuszy,
Że nie postrzeże gdy hak okręt skruszy.

Nareszcie stawia bezbożnym smutny obraz kary ja-
kiej nie ujdą. Obraz ten zda się jakby kreślony pro-
roczym duchem:

Wojsk niezliczonych przyjdą regimenty,
W dym was rozwleką, w lekkie pajęczyny,
Nic nie pomogą w czas gniewu lamenty,
Przyszną do kości grzesznych własne winy,
Potem choćbyście w zdroj się rozplynęli,
Łzy nie pomogą tym, co chcąc zginęli!

nim podwórca. Podwórzec, bardzo rozległy, bo sądząc na oko do dziesięciu móg powierzchni mający, zajmuje całą wyniosłość jednego z niezliczonych płaskich wzgórz, w jakie okolica piętrzy się cała. Prócz obszernego wylomu, zastępującego miejsce dawniejszego wjazdu, obronny mur okólny otacza go dotąd prawie wszędzie, gdzieniegdzie dochowany w zupełnej swej wysokości, od dziesięciu do piętnastu dochodzącej łokci. Miejscami w mur ten wpuszczone są po kilka i kilkanaście sżni szerokości mierzące skały, znacznie ponad mur sam wystające i tworzące rodzaj samorodnych baszt. Większa od wszystkich massa sterczących stromo skał, położona w zachodnim końcu wzgórza, służy za posadę właściwemu zamkowi. Niezmierny ten gmach od strony zwróconej ku miasteczku i z dwóch przytykających do niej boków dość regularną ma powierzchność; lecz za to od strony podwórca, poprzylepiany do dźwigających go opok, łamie się wraz z niemi w najdziwniejsze gzygaki i wyskoki. Od tej ostatniej strony, jako najprzystępniejszej, uległ też najbardziej zniszczeniu, tak iż wyobraźni z trudnością przychodzi dopełnić kształtów, jakie mieć mogły różne budowły części.

Nad wjeżdżną, niską i wąską, dotąd wybornie zachowaną bramą, tkwi strzaskana wprawdzie, ale nie zdefektowana marmurowa tablica, na której, złoceniemi niegdyś głoskami, następujący wyryty napis:

SEVERINUS BONAR DE BALICZE
IN OGRODZIENIECZ OJCOV KAME-
NECZ ZUPPARIUS BURGRABIUS ET
MAGNUS PROCURATOR CRAC. BIE-
CEN. ZCHOVIEN. RAPSTEN. CA-
PIT. A FUNDAMENTIS EREXIT.

Wewnątrz samego gmachu znajdują się dwa dziedzińce: jeden, na który przez docięro co wspomnianą wchodzi się bramą, długi, wąski, o nieregularnych bokach; drugi, mniej obszerny, czworogranny, do którego widać nie było żadnego, jak tylko z dotykających doń mieszkań wejścia. Zamknięta ta między wyniosłemi murami, do ogromnej studni podobna przestrzeń, dziwnie smutne czyni wrażenie, témbardziej że z dwóch stron ściany jej tworzy posępna, kilkanaście sżni wysoka, jednolita skała, na której gdzieś docięro w górze czernieją okna przyklepionych, jak jaskółcze gniazda, budynków. Wielka część murów, nietylko zewnętrznych, ale i wewnętrznych, rozkład dawniejszych mieszkań zaznaczających, utrzymała się dotąd dość zdrowo. Najlepiej jednak zachowały się kryte w fundamentach baterye, od zewnętrznej strony zamku obrócone. Dwie wysmukłe, krągłe baszty wznoszą się jeszcze aż do blanków całe; ale prócz ptaków niebieskich nikomu już nie spoglądać z ich szczytów. Kamienne schody które na nie wiodły, poupadały i rozwlęczone zostały łakomą ludzką ręką; kilka ich tylko jeszcze w jednej baszcie wisi jak gdyby cudem przy ścianie, grożąc w każdej chwili spadnięciem na głowę nieostrożnego gościa. Obok tych dwóch trzecia jeszcze, choć znacznie niższa, czworogranna baszta, wznosi się przy olbrzymim cielem zamczyska. Inne wszystkie, czyli to z nim bezpośrednio stanowiące całość, czy w węglach wzmacniających go murów zewnętrznych sterczące, pozniżały już starte ręką czasu czoła...

Otóż i wszystko co zapamiętać mogłem z szczegółów obrazu ogrodzienieckiego zamczyska. Pozostaje mi już tylko zestawić parę dziejowych wzmianek, do niego i położonej w bliskości jego osady się odnoszących.

Że Ogrodzieniec istniał już w XIV wieku, dowód mamy w nazwie podczaszego krakowskiego Włodka z Ogrodzienia, który w 1385 posłował wraz z innemi w sprawie małżeństwa Jadwigi do Węgier i Litwy. W 1470 Bartosz Ogrodzieniecki sprzedał zamek tutejszy i miasto, wraz z miasteczkiem Włodowicami i kilkunastą wsiami, mieszczoanom krakowskim Imbramowi i Piotrowi Salomonowiczom za 8,000 czerwonych złotych węgierskich. W końcu wszakże XV wieku dobra te były już własnością nowój linii panów Pileckich, herbu Leliwa, od syna głośnej w dziejach naszych Elżbiety Pileckiej i Wincentego Granowskiego rozdronzonej; w działach bowiem w 1501 roku nastąpiłych po śmierci Jana Pileckiego, wojewody sandomierskiego, Ogrodzieniec przypadł na syna jego Mikołaja. Że niedługo zostawały w rękę tej przemożnej rodziny, świadczy sprzedaż tychże dóbr, przez Włodka, podczaszego bocheńskiego, w 1523 roku dokonana Janowi Bonarowi, burgrabiemu i żupnikowi krakowskiemu, rabsztyńskiemu staroście. Syn to jego, Seweryn Bonar, prócz wielu dostojenstw krajowych, mianowany przez cesarza Ferdynanda baronem na Ogrodzieniecu i Kamieńcu, wznosił zamek, który po dziś dzień podziwiać możemy. Zakończył on życie

w 1540 roku, a zamek, wraz z dobrami, przeszedł przez jedyną jego córkę, poślubioną Janowi Firlejowi, wojewodzie lubelskiemu, późniejszemu marszałkowi wielk. kor., w posiadanie tego ambitnego domu. W 1655 Szwedzi, zająwszy przez czas jakiś zamek, przed opuszczeniem spustoszyli go jak umieli, a wiadomo że w sztuce tej byli mistrzami. Po klęsce przez nich zadanej, podniósł się przecież znowu i świetnych jeszcze widział dni niemało.

W 1669 Mikołaj Firlej sprzedał Ogrodzieniec, wraz z Kromolowem, Włodowicami i mnogimi włościami, Stanisławowi Warszyckiemu, kasztelanowi krakowskiemu. W trzydziści blisko lat potem, w 1697, Michał Warszycki oddał Ogrodzieniec, za córką Teofilą, Janowi Męcińskiemu, staroście wieluńskiemu. Od Męcińskich przeszedł w ręce raz już wspomnianego Tomasza Jaklińskiego, który ku końcowi zeszłego wieku miasto kościołem ozdobił. Za jego czasów począł się zamek chylić ku ruinie, która w przeciągu lat kilkudziesięciu zupełną się stała. Sam czas nie byłby tak prędko nastarczył zniszczeniu dawną sumienną i trwałą sztuką wzniesionego dzieła; ale ludzie przyszli mu w pomoc oskardem i siekierą, dla łatwiejszego otrzymania kamienia, którego nota-bene najwyborniejsze łomy znajdziesz tu nieledwie wszędzie pod nogą.

Dla uzupełnienia wreszcie historii ogrodzienieckiego zamku, winienem dodać, że kruszenie gwałtem murów nie było ostatniem pastwieniem się ludzkim, jakiemu uległ mu przyszło. W 1837 roku, nakładem księgarza Czecha w Krakowie, wyszła powieść historyczna z XII wieku, pod tytułem *Zamek Ogrodzieniec*, przez X. X. Mała ta książeczka jest ciekawą próbką, ile to niedorzeczności, przy dobrej woli, na dwustu kilkunastu stroniczkach pomieścić można. Za treść służy jej legenda o pięknej Witysławie z Ogrodzienia, o hetmanie Skarbimirze i Szczebrzycu, którą niedawnemi czasy przy opisach Ojcowa po parękroć czytać mi się zdarzyło. Legendy tej na miejscu w Ogrodzieniecu wprawdzie nie zasłyszałem; w każdym jednakże razie pominąć jej tu nie mogę, i dlatego przytaczam wiernie, jak ją przez Bartoszewicza spisana w Przewodniku po ojcowskiej dolinie znajduje.

Za panowania Bolesława Krzywoustego w zamku Ogrodzieniecu, od Ojcowa o kilka mil odległym, mieszkała cudnej urody dziewczica Witysława. Już dawno odumart ją ojciec, a matka, będąc na śmiertelnym łożu, złęczyła rękę swęj jedynaczki z ręką młodzieńca Piotra Szczebrzycy, którego serce Witysławy od dawna sobie wybrała; nim zaś ślub na zawsze ich połączy, mianowała opiekunem córki brata swego Skarbimira, wojewodę krakowskiego, hetmana królewskiego i głośnego wojownika. Zawsze będąc w obozie, rzadko odwiedzał dom siostry, ztąd też Witysławę po raz ostatni dzieckiem widział. Naglony prośbami konającej siostry, przybył do Ogrodzienia. Ujęły serce jego, oziębione przez wiek i ciągłe boje, dziewicze wdzięki, a skoro siostra oczy zamknęła, nie bacząc na to że uczucia Witysławy kogo innego wybrały, miłość jej swoję oznajmił. Odrzuciła dziewczica oświadczenie, a rozgniewany Skarbimir uwozi ją do Ojcowa. Do ciemnych lochów wrzucił w kajdany okutego Szczebrzycy i śmierć mu gotował w oczach Witysławy, jeżeliby na żądania jego powolną być nie chciała. Waha się dziewczica — gdy wtém wpada do zamku Krzywousty, który się dowiedział, iż Skarbimir, zaufany w swe siły, bunt naprzeciw niemu gotuje, i uprzedzić chciał go w wykonaniu. Zszedłszy go na nowém bezprawiu, gdy dumny wojewoda przez swą hardość bardziej jeszcze gniew króla rozżarzył, kazał mu oczy wyłupić, odebrał buławę i województwo, a dla wiecznej pamięci zbrodni jego postanowił, ażeby kasztelanowie krakowscy przed wojewodami mieli pierwszeństwo. Nieszczęśliwych zaś kochanków król, wzięwszy pod swoję opiekę, wiecznym połączył węzłem i zamek ojcowski im nadał, a ci, wdzięczni niebu za doznaną opiekę, wystawili w bliskości kościoł i klasztor, które istniały aż do szwedzkich wojen.

Zaiste, legenda ta mieści w sobie dość wątku na bez porównania obszerniejszą i lepszą niż *Zamek Ogrodzieniec* powieść. Czy się też jej kiedy doczeka?..

Przed opuszczeniem Ogrodzienia, pokazano nam jeszcze jeden haniebnej spekulacji pomnik. Przed nie tak dawnymi laty bezbożna ręka narysowała na ścianie zwróconej ku traktowi skały obraz Boga-rodzicy, z dziećciem na rękę, który wieczorami natary foforem, nocą potem w nadprzyrodzonym ukazywał się oczom ludu oświeceniu. Tłumy łatwowierne poczęły się coraz liczniej gromadzić, i rżecz stała się do tego stopnia głośną, że aż władza kościelna na miejsce zjechać musiała, a odkrywwszy oszustwo, rozkazała

zniszczenie bezczelnie nadużytego wizerunku. Dotąd jednakże ślady jego dość wyraźnie na skale rozróżnić się dają.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KOŚCIÓŁ NIEGDYŚ PARAFIALNY W PIOTRKOWICACH.

W okolicy pełnej zabytków i wspomnień historycznych, tuż za Oleśnicą, Kurozwękami i Szydłowem, w powiecie stobnickim, gubernii radomskiej, leży niegdyś miasteczko prywatne Piotrkowice, które nie mogąc się pod prawami miejskimi utrzymać, na wieś później zamienione zostało. Uległo ono przeciwności losu, jak tyle innych u nas osad; jednak stan jego musiał być kiedyś świetniejszym, jak dowodzą istniejące dotąd dwa kościoły, oba zasługujące na uwagę. Dawniejszy parafialny, którego wizerunek obecnie podajemy, najpóźniej z XV wieku pochodzący, odznacza się starożytną postacią. Zbudowany jest z miejscowego białego kamienia i obrzucony tynkiem. Szczyty ma z cegły, a zęby czyli blanki szczytowe z ciosu. Nad wchodowymi drzwiami herb Gryff na kamieniu wykuty; dach ostry, pokryty gontem. Wewnątrz, zamiast sklepienia, sufitowanie z desek. Ołtarze snycerską robotą w XVI stuleciu były wykonane. Kto wystawił ten piękny kościółek, niewiadomo, gdyż akta miejscowe zaginęły, a tradycja zupełnie zamilkła, zwłaszcza gdy po przeniesieniu nabożeństwa parafialnego do kościoła po-benońskiego, (którego opis i wizerunek podaliśmy w Nr. 80 naszego Tygodnika), budowla podupadła i dziś na cmentarzową kaplicę została zamienioną.

ZAMEK KRAKOWSKI.

(Dokończenie.)

Chociaż szeroko rozpostarty zamek, olbrzymimi wieżami i wspaniałością budowy, wymownie świadczy o swém pierwotnym przeznaczeniu, próżno jednak stęsknione oko szuka zabytków królewskiego przepychu we wnętrzu komnat. Zostały tylko marmurowe schody i odrzwia gotyckie, szczątki rzeźb na sklepieniach, a nade drzwiami godła łacińskie, ironia wieku obecnego.

Mieszkanie monarchów polskich składało 64 obszernych izb i ślicznie przybranych komnat; ale na-próżno w zmienionem wnętrzu badacz, chociażby z dawnym inwentarzem w rękę, wszystkie chciałby rozpoznać. Niektóre tylko dawne zachowały rozmiary, niektóre i dawne noszą imię, lecz któżby przypuścił że to te same?

W czworoboku dziedzińca od północy, pod sklepieniem galerij pierwszego piętra, szerokie schody z czarnego marmuru wiodą do komnat królewskich. Obok głównego wnijścia, w trzech izbach sklepionych, miejsce ksiąg grodzkich i ziemskich, zajęły składy efektów wojskowych. W ustępie schodów są dwie izby, przeznaczone niegdyś na skład rzeczy królewskich i nadworną aptekę; obecnego ich przeznaczenia nie znamy.

Doszedłszy piętra, napotyka się drzwi ogromne, prowadzące na galerję, która obiega wewnątrz dziedzińca. Z galerji tej wchodzi się do pokojów zamieszkałych niegdyś przez Annę Jagiellonkę. Rozciągają się one ponad bramą wjeżdżną, a w ostatnim po dziś dzień istnieją jeszcze gotyckie odrzwia, któremi król Stefan schodził do kaplicy w katedrze krakowskiej, noszącej jego imię.

Aby dalsze zwidzać pokoje, potrzeba wrócić się na galerję. Tu pierwsza sala po za schodami nosiła nazwę srebrnej. Nazwa ta ztąd pochodzi, że za czasów królewskich od posadzki do stropu zalegały ją szafy napelnione stolowemi srebrami. Sześć okien ogromnych rozmiarów świadczy o jej wielkości, więc o mnóstwie bogactw tu nagromadzonych. Z sali tej przechodzi się do innej, mającej w pośrodku kolumnę, która całe dźwiga sklepienie. Tu Zygmunt III przepędzał tajemnicze noce, z swym ulubieńcem Mikołajem Wolskim, pochylony nad alchemicznymi tyglami. Tuż obok znajduje się mały gabinecik, przez który wchodzi się do wieży przez tego króla wybudowanej. Na stropie tej komnaty były rzeźby bogato złoczone, które dziś jeszcze z pod grubego pokładu wapna przegładają. Pod wieżą istniały więzienia zamkowe, a schody w sionce prowadziły do nich, jakoteż do komnat górnego piętra. Chcąc obejrzeć dalsze pokoje, znowu wrócić trzeba na galerję pierwszego piętra, gdyż dawne komunikacye wewnętrzne, łączące wszystkie pokoje, poprzeriwano ścianami.

Przeszedłszy galeryą, napotyka się drzwi prowadzące do obszernej sieni, z której wchodzimy do gabineczku w Kurzej stopie.

Mimowolne wzruszenie przenika wędrowca, gdy po raz pierwszy stanie w tém ulubioném ustroniu Zygmunta Augusta. Ileż razy ściany te odbijały echem głośne łkania nieszczęśliwego męża Barbary, ileż razy przez te okna spoglądał zażawioném okiem na rozpostartą w około stolicę, ileż razy przebywał tu samotnie, szukając ulgi w modlitwie, tęskniąc za szczęściem, które mu się chwilowo zaledwie uśmiechnęło na ziemi! Obejrzyjmy się po tej komnacie: gdzie złociste rzeźby? gdzie malowidła włoskie? gdzie mozaiki przepyszne, które tu z takim zbytkiem nagromadzono?... ani śladu. Wydarło nawet marmurową oprawę kominka cudnie wyrzeźbioną, zamurowano nawet trzy z sześciu okien, bo światło tu stało się zbyt cennym widać.

Z tej pustej sieni, poprzedzającej samotnię Augusta, kędyż te wspaniałe podwoje prowadzą? Nad niemi napis: *Vellis quod possis*. Żądałeś więcej niż mogłeś, Zygmuncie! zapragnąłeś nieba na ziemi w modrém oku, w kłiwém sercu żony, a w tej właśnie komnacie oko to nazawsze zamknęło się dla ciebie, serce ostatniemu dęło tętnem! Tu zgasła Barbara, tu przepaść rozpaczy otworzyła się przed ostatnim potomkiem Olgierda. Uchodźmy stąd, bo zda się slychać ciężki oddech konającej Barbary; nie przeszkadzajmy plakać Augustowi, bo lzy królewskie nie powinny mieć świadków, a tém bardziej lzy nieszczęśliwego małżonka.

W ostatnich pokojach dotąd widać potężne kłody modrzewiowe, z których za czasów jeszcze

Jagiellonów ułożono powały. Tworzą one małe kwadraty, ledwie dwie stopy średnicy mające, na stopę głębokie; każdy kwadrat wewnątrz zdobia rzeźbione listwy. Z wnętrza ich wystają piramidy kwieciste, pięknej snycerskiej roboty. Szczególném zrządzeniem nietylko pożar 1702 roku, ale nawet ostatnie przeróbki w zamku zabytków tych nie tknęły.

Oto i pierwsze piętro; schodami głównymi wstępuje się na drugie. Za izbą marszałkowską są pokoje

zwane komnatami królowej. Urządzono je nanowo na przyjęcie pierwszej żony Zygmunta Augusta, Elżbiety Austriaczki. Piękne okno w sypialnym pokoju winne tej może okoliczności swe zachowanie, że obok herbów krajowych, znajduje się i rakuzki, dla uczczenia owej królowej. Kiedy August, ostatni szczer Jagiellonów, pomimo dwukrotnego małżeństwa, nie miał nadziei potomstwa, stany zapragnęły ażeby raz jeszcze zawarł śluby. I wtedy to, na przybycie Kata-

być tak przepysznie przybrany, że cudzoziemcy twierdzili iż nigdzie podobnej nie oglądali wspaniałości.

Sala pierwsza (dziś w połowie przemurowana), miała 14 obrazów, w tyluż kwadratach pomieszczonych w pałapie. Ściany okrywały olbrzymie arcydzieła malarskie i rozliczne trofea Zygmunta. Któżby zliczył tysiączne ozdoby przybierające tę komnatę! W pośrodku herbowy orzeł wolno wisiał, i za najmniejszym powiewem wiatru, ruchy żyjącego przybierał. Dalej był pokój zwany ptasi, z sufitem przybrany w ptaki, do złudzenia naśladowujące naturalne. Przędne lampy, przeciążone rzeźbami, żywocią barw zachwycały wszystkich co je oglądali.

Trzecia komnata miała mnóstwo obrazów; aż dotąd przechował się w niej szafiasty marmurowy komin, z herbami królestwa i snopem Wazów. Następnie podwoje z hebanu, inkrustowane złotem, kością słoniową i perłową macią, prowadziły do kaplicy królewskiej. Tu ołtarz marmurowy i posadzka zniknęły także bezpowrotnie; zostały tylko odrzwia marmurowe, bo ich niepodobna było wyjmować, bez osłabienia murów, a na sklepieniu z pod grubo nałożonego wapna wydobywają się dawne rzeźby. Po zianką przyległą kapliczce są małe pokoiki, poświęcone tradycją, że tu przemieszkiwała królowa Jadwiga.

Po za obszerną sienią, jest izba jadalna. Tu pod stropem zasianym srebrnymi gwiazdami, wśród ścian złotogłowiem pokrytych, odbywała się uczta koronacyjna Barbary Radziwiłłówny. Ostatnia na tém piętrze ogromna sala jest ową sławną izbą poselską, gdzie senat z posłami ziemskimi radził o dobru Rzeczypospolitej. Po dwa okna z trzech stron oświecały

ją niegdyś. Z wnętrza kwadratów starogryzów, wystawały piękne głowy wielkości naturalnej, do bark wypuszczone, wystawiające, podług tradycyi, posłów sejmu piotrkowskiego, przeciwnych małżeństwu Augusta z Barbarą. Jedna z tych głów, jak twierdzi podanie, miała przemówić do sądzącego sprawy Zygmunta: „*Rex Auguste, judica iuste*.“ Środek zdobyły herby państwa, pomiędzy które wkraść się chytry wąż Sforcyów. (Ob. Dod.)



KOŚCIÓŁ NIEGDYS PARAFIALNY W PIOTRKÓWICACH. (Rysował z natury Lewicki).

ryny habsburgskiej, ozdobiono te komnaty cudnymi szpalerami. Biegła igła mozolnie naśladowała kartony słynnych mistrzów; ponad małżeńskim łóżem królestwa wyobrażono pierwszych rodziców, w całej ich dziewiczej piękności; część druga ściany przedstawiała upadek ich, a w ścianie drugiej trzecia połać karę skuszonych od węży. Wedle opowiadania Orzechowskiego, czytałeś na twarzy Ewy przerażenie, wstyd na czole Adama, zapalczywość na obliczu karzącego Stwórcy. Na czwartej Adam, odziany skórą zwierzęcą, z wysileniem uprawiał ziemię. Ewa, z dwójkiem dzieci u łona, krzątała się około ubogiej lepianki, a nad nią i w około unosiło się plectwo nieznanne. Piąta przedstawiała Abła ofiarę Bogu miłą i zawistnego Kaina, gryzącego z wściekłością rękę. Na szóstą rozjuszony Kain podnosił szczękę końską, dla ugodzenia nią brata: pierwsza zbrodnia, pociągająca za sobą nigdy niezakończony szereg innych. Na siódmą Abel kapał się w krwi kałuży, a Kain uchodził, ścigany przez furę rozpaczy i zemsty. Bóg z rozwartego nieba wyklinał mordercę. Ostatni obraz w tej komnacie umyślowiał czyny potomków Kaina; wszędzie zbrodnie i gwałty, morderstwa i łupież cudzej własności.

W następnym pokoju budowa korabiu, gromadzenie zwierząt i straszliwy potop, z całą zgrozą kary wymierzonej na plemię zbrodniami skalane, przejmowały widzów trwogą. W dalszym ofiara dziękczynna Noego i tęcza, znak przymierza na niebie; w innej nareszcie komnacie dzieje Mojżeszowe i wniście do ziemi obiecanej. Wszystko to misternie złotem, srebrem i różnobarwistym jedwabiem niewieście wypracowały ręce. Trzy następne pokoiki, noszące nazwę komnat świętej Jadwigi, przy przebudowaniu zamku na koszary, przemieniono w ogromną sien.

Z tej sieni wychodzi się na galeryę drugiego piętra, która prowadzi do izby senatorskiej. Sala ta była ogromna, ośmią wielkimi oświeconą oknami; powała z belek układana w kwadraty, z pośrodku których wyglądały róże złociste. Tu odbywały się obrady. Na wesele Zygmunta III obito ją zielonym aksamitem, bramowanym złotem. Na ścianach wprost siebie wisiały dwa ogromne obrazy: koronacja Zygmunta i zwycięstwo pod Byczyną. Któż wówczas mógł przewidzieć, co przyszłe gotowały wieki?

Dalej szło mieszkanie królów. Szereg komnat miał

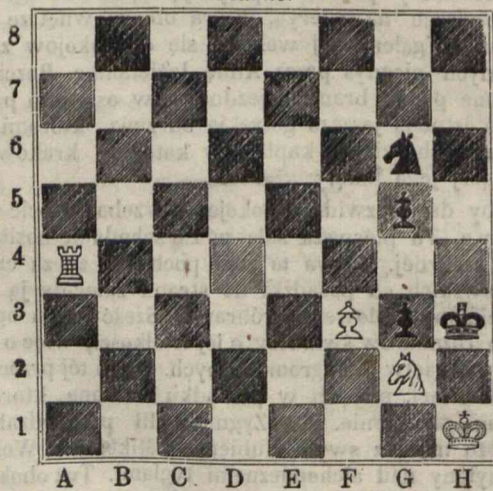
SZACHY.

(Józef Kohn ze Lwowa).

ZADANIE C.

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

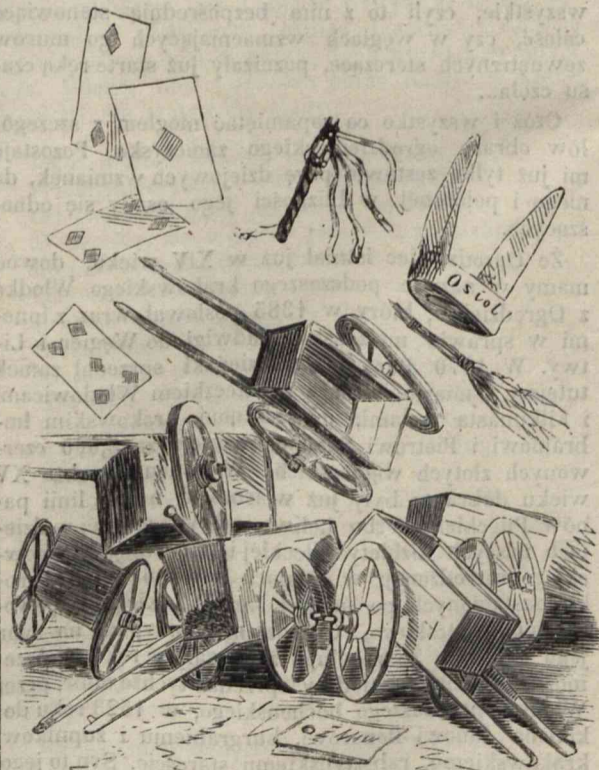
Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 99.

Białe.

Czarne.

- | | |
|---------------------------|-------------------|
| 1) E3 — E4 † | 1) D5 — E4 biorą. |
| 2) E2 — E3 | 2) A5 — A4. |
| 3) B6 — A5 | 3) A4 — A3. |
| 4) A5 — E4 | 4) A6 — A5. |
| 5) H4 — H5 | 5) A5 — A4. |
| 6) H5 — H6 | 6) F5 — G4 biorą. |
| 7) A2 — E6 biorą † i mat. | |

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 126.

Widać iż damy nasze podejmują się ulice zamiatać, bo na brzydki czas wdziewają długie suknie.

(Dodatek).

Gdzie ten strop, gdzie głowy, gdzie nawet sama izba poselska? Kilkanaście głów uwieziono do Laksenburga, na jednym z pięćdziesięciu wozów, które przepelniono zabytkami starożytnymi krakowskiego zamku; kilka zabląkało się do świątyni Sybilli. A izba poselska?... przerobiono ją na sien, salę i poik, powałę zaś kunsztowną rozebrano do szcztu.

Kończąc przegląd znaczniejszych komnat zamku krakowskiego, nie można pominąć tak zwaną kustydy, złożoną z dwóch pokoików i trzech komnat sklepionych. Tu znajdował się skarb królestwa, jak świadczy napis: *Thesaurus regni*. Siedm kluczyw nigdyś zamykało ten skarbiec, a klucze te przechowywali: podskarbi koronny, kasztelan krakowski, oraz wojewodowie: krakowski, wileński, poznański, sandomierski i trocki, czuwał zaś nad skarbcem kustosz. Oprócz nieocenionych skarbów siedmiu koron, przybranych w kamienie drogic, w perły i dyamenty po sto karatów wazące, było tu mnóstwo drogocennych rękopisów autograficznych najslawniejszych mężów. Te ostatnie stały się lupem zniszczenia przez zaniebdanie i pozostawienie przez lat 24 w gmachu pozabawionym przykrycia. Gdzie skarby?... Któż odgadnie? a jednak historycy nasi wyrządiliby wielką przystugę, rozswieczając tajemnicę ich zniknięcia. Ta część zamku, najstarożytniejsza, zawiera także salę, której sklepienie wspiera się na jednej kolumnie, a herby węgierskie o jęj pochodzeniu od Ludwika świadcza.

Wybiegłszy południową bramą z zamkowego dziedzińca, znajdujemy się u stóp wieży senatorskiej, kolosalnej wielkości i niepożytej budowy. Przed parą laty odarto ją z oznak sędziowości, bo całą wieżę ozdobił na ceglasy kolor pomalowano. Dalej idzie wieża Tenczyńskich, następnie panieńska. Była tu do roku 1840 mała czworoboczna wieża, która w owym czasie w lecie oderwała się od muru otaczającego zamek i runęła na tarasy, sięgnąwszy gruzami stóp kościoła bernardyńskiego. Czwarta wieża, sandomierska, również pięknie jak senatorska zbudowana. U stóp baszty Tenczyńskich tracono w roku 1462 mieszczan krakowskich, którzy mszcząc się za pobicie Klimunta płaćnerza przez Andrzeja Tenczyńskiego, zamordowali tego ostatniego w kościele franciszkanów.

Od wschodniej strony w murze zamkowym znajduje się furtka królowej Jadwigi, nazwana tak od chwili gdy młoda pani toporem wyrwanym z rąk żołnierza, utorować sobie chciała wyjście z zamku wyrabaniem tych drzwiczek. Tędy wymknął się Henryk Walezy, wdychający za koroną i władzą brata, Karola IX.

W północnej stronie pałacu w r. 1859 wybito napowrót wielkie okna, które przez lat 60 przeszło były do 1/2 części zamurwane. Dziś one tej wprawdzie co dawniej wielkości nie mają, wszelako mało co mniejsze, dodały nowęj wspaniałości wawelskiej stolicy.

Przez lat 34 Kraków był wolnym miastem, a senatorowi rządzącemu na myśl nie przyszło, aby cokolwiek dla zamku dawnych monarchów uczynić; zanadto wiele widać miał zajęcia, aby się starożytnymi zabytkami zajmować. Odnowiono wprawdzie główną bramę wchodową, ale dlatego tylko może, aby na niej szumny napis położyć. (*) Prawda że oprócz tego pokryto wschodnie skrzydło pałacu królewskiego dachówką nową, bo zaniedbanie tej reperacji ruiną mu groziło.

O katedrze mówiliśmy gdzieindziej; nowo wystawiony zaś szpital wojskowy, pomiędzy dwiema basztami od strony zachodniej, nie należy do opisu naszego. Na jednej z pomienionych baszt, w lecie r. 1846, lud ujrzał jakoby wyobrażenie Matki Boskiej. Mnóstwo ciekawych schodziło się przypatrywać cudowi, czemu garnizon austriacki wcale nie przeszkadzał. Ludność wykształcenijsza, pomimo bystrego wpatrywania się w skazy szarego tynku, podobieństwa obrazu ujrzyć nie mogła; garnizon sztydł z tego, jak twierdzono, przywidzenia. Miałeby lud prosty innem na takie rzeczy okiem oglądać? Rzecz cała później poszła w zapomnienie.

W skalistej koralowej opoce, która stanowi formacją podstawy Wawelu, liczne znajdują się pieczary, po większej części tak nizkie, iż chcąc je zwidzieć, pelzać prawie potrzeba. Jedna tylko jest obszerna i rozległa, od zachodu, po nad brzegiem Wisły. Zgadnicie może czytelnicy, że mówię o Smoczęj jamie. Dziwna rzecz, że smoki znikły z powierzchni ziemi; miałybyż z upływem wieków w inną przedzierzgnąć się postać? A jednak wiara ludu w wawelskiego smoka jest niezachwiana i naprózno by kto starał się postawić mu tysiączne dowody na niepodobieństwo istnienia tej poczwary. W r. 1834, przy równaniu

powierzchni około zamku, po zburzeniu kilku domków, zasypano wnijście do Smoczęj jamy. W r. 1842 ówczesny rząd krakowski barbarzyńskie to nieposzanowanie drogich tradycyjnych zabytków, wynagrodził otworzeniem go nanowo, a nawet rozszerzeniem. Później obmurowano Smoczęj jamę i wnijście zamknięto żelazną kratą. Nakoniec, po zamianieniu zamku na twierdzę przez rząd austriacki, obmurowano ją tak, iż tylko z wnętrza zamku dostać się do niej można, a w srodku wykuto studnię na potrzeby załogi.

W pobliżu Smoczęj jamy jest okienko kwadratowe w murze, o kilka łokci nad poziomem, otwierające kanał, który się kończy pod domem psalterzystów. Miejsce to jest wslawione zuchwałym czynem, który oddał na trzy miesiące zamek krakowski w ręce konfederatów barskich.

Konfederaci na Tyńcu naprózno zwracali wzrok ku oddalonym basztom krakowskiego zamku, bo sił nie mieli po temu, ażeby wstępnym bojem zdobyć to miejsce warowne, tém bardziej że wojska nieprzyjacielskie zajmowały także i samo miasto.

Lecz jeżeli szczupła osada tyńciecka zaprzestała marzyć o trudnym zdobyciu zamku, były w nim jednak dwa serca odważne, które postanowiły zwalczyć przeszkody i ubiedz twierdzę krakowską. Rajmund Korytowski suszeptant grodzki i Biesiekierski konfederat w niewoli zostający, zmówili się aby ułatwić swęj braci tajemne wnijście do zamku. Korytowski, mimo czujnego oka straży, przepiłował kraty wewnątrz kanału. Biesiekierski nocą wymyka się z zamku okienkiem, a przebywszy Wisłę, staje przed zdumionym wodzem konfederatów. I wnet brygadyer Choisi z pięćcią oficerami i 48 ludźmi opuszcza osłonięty cieniami klasztor; za nim o kilkaset kroków postępuje major Saillant, na czele 57 odważnych.

Na zamku królewskim wszystko pogrążone we śnie; ciszy nocnej nie nie przerywa, tylko hałas wpoł drzemających straży. Miasto zajęte wojskiem ubezpiecza garnizon zamkowy od wszelkiego podobieństwa niespodziewanego napadu. Jedni tylko księza psalterysty czuwają, bo służba ich trwa dzień i noc i od wieków bezprzestannie brzmią pienia w katedrze krakowskiej. Ale dzisiejszej nocy widno jakaś niezwykła uroczystość kościelna, bo częściej jak zawsze księza przechodzą przez dziedzińiec zamkowy, co chwila po dwóch śpieszy do świątyni; nie zwraca to przecież uwagi żołnierzy, do tych nocnych przechadzek przyzwyczajonych. Nagle z po za muru okrążającego katedrę, jak piorun wypada oddział zebrany, rzuca się na główną strażnicę i w jednej chwili zabiera całą wartę, która przerażona tym niespodzianym napadem, oporu nawet stawiać nie śmie. Konfederaci Choisi'ego, przybrani w białe koszule dla złudzenia straży, z szablą w rękę rzucają się w zamkowe galerye i komnaty. Oddział Saillant'a już tymże samym kanałem dostaje się do domu psalterzystów i za przykładem swych towarzyszyw rzuca się naprzód z bezprzykładną śmiałością. Pierwszy wiedzie Biesiekierski, drugi Korytowski; obydwa znają wszystkie przejścia zamkowe, wiedzą gdzie mieszka starszyzna, więc do pewnego wiadą zwycięstwa. Część załogi ginie pod ciosami konfederatów, reszta struchlała wypuszcza z drżącej dłoni oręż i zdaje się na łaskę. Wnet nowy zasilek wzmacnia oddział awanturńczy do 500 ludzi, a nazajutrz rano zdziwieni mieszkańcy, a stokroć więcej zdumiona załoga miasta, widzą na basztach zamkowych powiewające sztandary konfederackie.

Działo się to w nocy z dnia 2 na 3 lutego 1772 r. Otóż przejrzelismy cały zamek dawnych monarchów polskich, komnaty które zamieszkiwali, galerye, dziedzińce i wały. Ale czy mniemasz, czytelniku, że w tym przeglądzie pobieżnym widziałeś wszystko, że ujrzałszy poważne oblicze starca, przeniknąłeś w głąb jego duszy? O nie, niedość obejrzyć osierocone gmachy; pozostaje jeszcze do zerwania tajemnicza zasłona, która przed twém okiem zakrywa jedno z najpiękniejszych podań ludu krakowskiego.

W niezmiernych głębiach wawelskiej skały Jest gród królewski drugi, wspaniały, Stokroć piękniejszy niż ten z pod gwiazd, Co na Chrobatach zdobył go Piast,

Od złota jaśnieje cały. Tam smukłych kolumn wyrasta las, W ogromne gmachy rozdarł się głaz, A w nieprzejrzanych murach zamczyska Tysiąc lamp igra w blasku puklerzy, Tysiąc oręży na ścianach błyska, Tysiąc za stołem rycerzy.

A na purpurą okrytym tronie Zasiadł król-rycerz, olbrzym w koronie, Na stopniach leży stalowy szczyt,

Miecz wyszczerbiony do ziemi wbit, Lewicą podpira skronie. Przecz cisza głucha panuje tu? Czyli już bardom zabrakło tchu? Czy śmierć obrała tu gniazdo swoje, Albo wykuty z glazu król ten, I z glazu bardy, dworzany, woje? O nie śmierć—to tylko sen!

Bo raz co roku, gdy z górnej wieży Spiż twardym jękiem północ uderzy, Król-rycerz ze snu otrząsa skroń, Miecz wyszczerbiony porywa w dłoni I szczękiem budzi rycerzy. I wraz pośpiesza na górny świat, Obejrząc dziecię osmiuset lat; A gdy w posrodku zamkowej góry Stanie w dziedzińcu potężny król, Pochłania wzrokiem wieżycę, mury I stumilowy łan pól.

Jeśli mąż z sercem przeczystém w łonie Ujrzy tę postać w swiateł obsłonie, Pierś mu nieznaną błogością drgnie, Bo przed nim stoi w przejrzystej mgle Król Chrobry, z szczerbce, w koronie. Lecz biada sercu, jeśli w niem gad Zbrodni lub zdrady zapuścił jad! O, niech uchodzi przed świętym cieniem, W wnętrzościach ziemi kryje swój srom, Bo król Bolesław straszném spojrzaniem Występnych razi jak grom!...

A tam, w podziemiu, zbudzeni męże Wstrząsają groty, ostrzą oręże, Grzmi trąb wojennych wrzaskliwy dźwięk, Rzenie rumaków i mieczów szcęk, Słońcem jaśnieją pawęże. Wtém król powraca w swój skalny gród, Wbija miecz w ziemię; bojowy lud Zadrzał. Król woła na swych rycerzy: „Schowajcie miecze“ a na głos ten Pierwszą wybija spiż górnej wieży, I wszystko zapada w sen.

Wł. L. A.

WIDZIAŁO SZCZĘŚCIA,

POWIEŚ Z ŻYCIA SPÓŁCZESNEGO.

przez

FELICYANA.

(Dalszy ciąg).

V.

Szukajcie, a znajdziecie.

Nazajutrz był poranek świetlany.

Kilka promieni przedarło się przez szpary w okienku, nawidzieć smutną izdebkę poddasza, i pojaśniały od nich kłęby dymu, które zamysłony malarz puszczał z fajki. Bo on miał dzisiaj tytuń, ten człowiek szczęśliwy—a zdarzało się to tak rzadko! Promienie te i kłęby podobne były do jego myśli rozpierzchających się i pomąconych, pomiędzy któremi zaledwie plątało się swiateł kilka, a i te przesywały je tylko na wskroś i szły dalej, prawie się nie zatrzymując w tej biędnej głowie. Leżał on na znak, na nędznym swoim sienniku, nogi mając w górze, z wzrokiem utopionym w belki sufitu, milczący i zadumany. A pan Ignacy chodził po izbie, szepcząc pacierze łacińskie, co upoważniało poniekąd wiarę nauczyciela szkółki w głęboką jego uczoność.

Naraz zapukano do drzwi, bojaźliwie, cichutko jakoś, nieśmiało.

— Proszę wejść, rzekł pan Ignacy, nie przerywając sobie pacierza.

Zastukano znowu, tylko że śmielęj nieco.

Pan Ignacy poszedł otworzyć zniecierpliwiony.

Właśnie w samą porę wymawiał: *et ne nos inducas in tentationem*; bo, gdyby się godziło użyć w tym razie spospolitowanego już porównania o człowieku który nastąpił na węża, byłoby może jedynem, mogącém dać pojęcie o jego zdumieniu.

Powiedzmy w krótkości: pukającym do drzwi był hrabia Artur.

Pan Ignacy, ujrzawszy go, zrazu odskoczył jak oparzony i mimowolnie drzwi zatrzasnął, ale w tężę samej chwili, opamiętawszy się, szybko wyjął klucz z zamka, i rzekł do Juliana otwierając je znowu:

— Al to ten pocziwy Kasiak z przeciwka—chce się mnie o coś zaradzić. Zaraz wrócę.

(*) Senatus Populusque Cracoviensis restauravit anno MDCCCXXXVIII.

Julian nie słyszał nawet, tak był zatopiony w sobie. Pan Ignacy włożył klucz ze strony przeciwniej, zakreślił go dwa razy, i dopiero wtedy odwrócił się do swego gościa:

— Przepraszam, panie hrabio, że cię przyjmuję za drzwiami—ale ten próg przeszedłbyś chyba po moim trupie.

— Wcale też nie usiłowałem przejść go.

— Cóż mi sprowadza niesłychany zaszczyt odwiedzin pańskich?

— Przeszła sztydź, panie Skalski—szukałem cię wszędzie...

— Oszukałem cię—powiedz raczej, mój panie. Ale nie pierwszy raz się to zdarzyło, i nie ostatni zapewne...

Artur zarumieniał się aż po białka oczu, bo uczył słusność tej uwagi.

— Sam nie wiedziałem com mówił wtedy, wyjął z cicha; spotkanie tak niespodziewane... Zresztą, opamiętawszy się, długo siedłem za tobą panie Skalski, chcąc cię doścignąć znowu, ale mi znikł z oczu na zakręcie ulicy. Od dnia tego nie szedłem ani czasu, ani trudu, chcąc cię odszukać,—chodziłem od cyrkułu do cyrkułu, wreszcie powiedziano mi w magistracie...

Pan Ignacy z najzimniejszą krwią wysłuchał tego tłumaczenia, kiwając głową i patrząc w oczy Arturowi, ale mu on dotrwał wzroku, jak człowiek mówiący prawdę.

— Koniec końców—czego mi pan nachodzisz w własnym moim domu?

— Chciałem wiedzieć, w czym mógłbym wam być przydatny? rzekł Artur nieśmiało.

— Właśnie pomówimy o tym—tylko...

— Tylko nie tu—rozumiem. Nie mam już śmiałości prosić cię do siebie, panie Skalski—jednak—gdybyś zechciał...

— Nie. Obdarty nieprzyjaciel, łatwo może być wzięty za przyjaciela,—a na to zgodyby nie było, równie od ludzi, jak odemnie.

— Rzecz słusna. Możemy zrobić to w miejscu jakim umówionem, które zechcesz sam oznaczyć.

Pan Ignacy bacznie spojrział mu w oczy.

— Dobrze, rzekł po jakimś namyśle.

Umówiono się tedy o miejsce. Było jakiś ustronny zajazd furmański na Nalewkach.

— Więc zgoda. Chodźmy tam zaraz, rzekł Artur.

— O! nie. Mógłby nas kto spotkać—nie chcę robić ci wstydu. Idź sam naprzód, a ja przyjdę za chwilę—raz jeszcze chcę ci zawierzyć.

Artur z pośpiechem zaczął zstępować ze schodów, a pan Ignacy wszedł do izdebki.

VI.

Pan Ignacy i hrabia Artur.

— Co też on mi powie? mówił sobie Artur, chodząc po brudnej izdebce zajazdu żydowskiego. Nie idzie mi o to, żebym się dowiedział czegoś nowego, czegoś pocieszającego, lub choćby mniej bolącego, od tego co mnie dolega; ale żeby mi tylko dano wybrać rzeczy które się wyrzuca na śmiecie: przebaczenie, miłosierdzie, współczucie. Tylko ci ludzie sami wyrzuceni są na śmiecie—zkażdeby mieli jeszcze co do wyrzucenia? Zgubiłem ich—ale też wreszcie przyszła kolej i na mnie. Straciłem swoje i cudze, zmarnowałem Bóg wie ile, i zrobiwszy to, nie mam już dażyć do czego, bo droga moja kończy się przed moimi stopami; stoję na krawędzi samej, krokiem już dalej—przepaść lub grób. Na podobieństwo łodzi, która by puściwszy się na nieznane morza, samochem poddeszła pod burzę—choćbym wrócić chciał, nie czas już; choćby i czas był, nie wiem którą—bo na wodzie nie szukać śladu. Postanowienie moje jest nieofnione. Dojrzałem do niego w jednej chwili, jak owoc nagle przypieczony od skwaru: nie doszedł swego czasu, a stał się starcem; nie umarł, a już się nie odrodzi; zwiadł i ściągnął się, i pestka jego wyjdzie mu przez wyschłe boki, rozdzierając je kantami, jak dusza ciała człowieka który już żyć nie powinien, przeto że żył za prędko i że zrobił sobie rdzeń żywotną z własnego samolubstwa. Nie chcę i nie powinienem żyć dłużej. Pragnąłbym tylko, zanim zakończę rachunek z sobą, mieć choć trochę do odjęcia z niego,—niechby przynajmniej nie był tak duży, tak długi, tak prawie nieskończony. Pragnąłbym móżdż choćby dotknąć tylko dłoni przyjaciela—już nim nie jest, a przecież był kiedyś, i wtedy dobrze nam było obydwom. Chciałbym żeby mi przebaczył życie, jak pragnę żeby mi Bóg przebaczył śmierć nie z Jego ręki. Nie od walki chcę uciec, ale od niepodobieństwa wynagrodzenia krzywd którym porobił, a z których największa jest: że żyję. Ustąpię, a wtedy połączą się ci, pomiędzy którymi stanąłem

jak słup graniczny, nie należący do nikogo. Może wróci im szczęście, po które ściągnąłem dłońi podwójnie świętokradzką. Biedny Julian!—powiadano mi że jest obłąkany—widzieć go muszę—nie mogę go nie widzieć—niema ceny którąby mi od tego odwiódł.—Zresztą, cóż ja mam do oszczędzenia jeszcze na świecie? Jest mi jakbym miał sen przykry—chcę się obudzić. Niezależnie mi życia. Otrułem się szczęściem, i oddawna już konam tylko powolnie. Zamiast cierpliwie czekać mojej kolei, zamiast w bojaźni Bożej, w błogiej ciszy sumienia, pożywać na ustroni skromny chleb swój powszedni, chciałem zgotować duszy mojej rozpustną biesiadę bez Boga, od której wstaje człowiek z bólem głowy i serca, z niesmakiem do siebie samego...

Było mu sucho w gardle i na języku, i usta zapiekały mu się gorączką, i uderzała krew do twarzy, i serce biło głośno a szybko, jak zegar któryby pociągano za sprężynę, bawiąc się jego pośpiechem, lub chcąc oszukać czas przygwałcaniem jego wymiaru. Ciepłe strumienie przebiegały mu po członkach, a w oczach zmęczonych blaskiem, przedmioty przybierały formy znikome i nietrwałe, jakby świat wyczerpany z sił żywotnych, nie miał mu już nic do dania. Przez okno izby, po przez dachy i kominy, rysował się kawałek nieba pogodnego, przejętego światłem, i tylko uschłe gałązki drzewa rosnącego przy studni, sterzczały ku niemu, niby chudymi palcami zbrojnemi w paznogie sięgając po jego błękit, czy też rozpaczliwie usiłując wydostać się z dusznej uwięzi w której schły powolnie. Przed laty, kiedy tam ręka Boża wszczepiła to drzewo, było zapewne zielono jeszcze w okolo, i nie brakło mu towarzyszy, a świeży powiew od łąk i zboża kołysał do szumu jego liście; a kiedy pod światło księżycowe perliła się rosa na dzikich kwiatach rosnących na miedzy, rój ptastwa, kołysany wiatrem wieczornym, zasypiał spokojnie na jego gałęziach. I studnia była zapewne krynicą wtedy, i czerpano z niej, nachyliwszy się w cembrownę lub sięgając żerdzią, a w upały południowe świeżo tam było na trawie bujnej, pod cieniem owego drzewa. Ale wkrótce zastąpił żoraw krynicę pełną, zdeptało bydło murawę, i tylko pod koryto schroniło się jej nieco, a miejsce po którym bujał swobodnie wiatr łąkowy, stało się podwórkiem wiejskiej zagrody, i drzewo oceniające studnię mogło się jeszcze kąpać w słonecznej powodzi południa, a o zachodzie rozweselał je w niewoli świateł wróbla kłocących się w konopiach, troszczenie się kury pod płotem, skrzyp żorawia i powiewy traw skoszonych świeżo. Ale kiedy się coraz szerzej zaczęło rozsiadać miasto, zwalono chatę, piętrowe budynki wzniosły się w okolo, zdeptała do reszty ziemię pobielilo wapno, poczerwieniły okruchy cegieł, pozanieczyszczały wiórzyska, wreszcie z żorawia zrobiono studnię, i wtedy osamotniałe drzewo znalazło się wśród czterech murów, odepchnięte na zawsze od wiatru odświeżającego powietrze, podlewane pomyjami, prażone zewsząd upałem, przypruszone nieustannie pyłem ulicznym, z którego zaledwie opłucze je niekiedy woda deszczowa, ściekająca po brudnym dachu, brudna sama. Biedna drzewo! kiedyż przynajmniej uschnie ostatecznie? Kiedyż przestanie konać powolnie? Przyłóżcie siekiere do jego korzenia; w zamian za tę usługę, rozjaśni wam kilka długich wieczorów zimowych. Tylko że właściciel jego nie dba o wieczory, a tym mniej o ich rozjaśnienie; robi, czy się da czy nie da, furę drewek z tego zabytku lepszych czasów, i przeda na zablonym rynku, klnąc się na duszę i ciało, że to robi ze stratą.

Na podwórku był w tej chwili ruch niejaki. Stała fura żydowska, zabierająca się do wyjazdu. Siedziało na niej kilka dusz chrześcijańskich, wzywających świętej cierpliwości, ponieważ nie ruszano w drogę, mimo że czas upływał. Klócili się furmani o jakąś smolę, której niby pożyczyl jeden od drugiego, i o jakąś płachtę, która się znalazła pod beczką,—a wszystko to, żeby nie zapłacić trzech groszy chłopakowi żydowskiemu, który poił konie. Stali drudzy, przypatrując się tej scenie, jakby było co widzieć, dzieciaki z rozdzwionymi gębami przypatrywały się patrzącym, a hrabia Artur przypatrywał się tym i tamtym, nie wiedząc nawet że patrzy.

Wtém ktoś rozpychał począł tę gromadę, i wkrótce z pośrodku jej ukazała się postać pana Ignacego, niby złowrózbe zjawisko wychodzące z zamętu. Spostrzegłszy go, Artur uczuł dreszcz we wszystkich członkach, jakby doznał niespodzianki, lub się obawiał tego człowieka.

— Co też on mi powie? z czém przychodzi?

Pan Ignacy miał nos mocno czerwony i zarumienione policzki. Uśmiechnął się ujrzawszy Artura, i wyraził z tego względu niemałe podziwienie, gdyż,

jak twierdził, sam spieszył się niesłychanie, i nie pojmuje jak się mógł spóźnić. A jednak rzecz to była jasna wcale. Wstępując do niejednego szyneczku, potrzeba było niemałego pośpiechu, żeby kiedyś zająć przecie, i zarazem nietrudno było, idąc tym sposobem, dać nieco czekać na siebie. Obtarłszy czoło zroszone kroplami, próbował zamknąć na klucz drzwi od izby; ale trudno to było, z powodu że nie miały nawet klamki. Tedy przyparł je stołem, i dopiero zrobiwszy to w sposób nie zostawiający nic do życzenia, zwrócił się do Artura:

— Jestem teraz na pańskie rozkazy. Przedewszystkiem radbym, żeby wszelkie długi pozostały na stronie pańskiej, i dlatego proszę pozwolić, żebym mu zwrócił com pożyczyl kiedyś od niego. Stało się to na ulicy, w pewien dzień chłodny i głodny, kiedy deszcz kapał za kołnierz. Byłto, jeśli się nie mylę, dukat świetny,—nie mogę go oddać w złocie, jak wziąłem, tak jak nie potrafiłbym Bogu oddać duszy mojej taką samą, jaką ją pożyczyl niegdys memu ciuła. Bo ciało ziemskie a kieszeń—to wyjdzie prawie na jedno. Włożą w nie wartość słonecznej treści, a przyjdą smutne koleje, czy choćby tylko potrzeby nieuniknione, i szatan, jak lichwiarz łapczywy na złoto, skwapliwie zmieni na drobne i małoważne to, co się nie da już skupić napowrót, chyba ze stratą. I drobne te będą jeszcze odpowiednie wartości tego co było całym, ale nie zagrzeją miejsca—bo zmienia człowieka na to tylko, by rozprzążyć.

Mówiąc te słowa, pełne namaszczenia jak mu się wydawało, włożył rękę w boczną kieszeń surduta, i naprzewracawszy tam czas jakiś, wyjął pełną garść drobnych pieniędzy, pomieszanych z krédą, kawałkami ołówków i świstkami papieru.

— Otóż i ja oddaję, według mej możności, ciągnął dalej, wybierając z pomiędzy miedzaków to co nie należało do rzeczy, i licząc głośno; ale żadną miarą nie mógł się jakoś dorachować więcej nad cztery złote groszy 40.

Zagrzązył znowu rękę w kieszeń i robił tam poszukiwania we wszystkich kierunkach.

— Cóż znowu, mrucał do siebie; czy mi ukradli z kieszeni—czy co?

Słowa te dawały niezbyt korzystne pojęcie o towarzystwie w którym był, ale on nie zważał na to, tylko wciąż przewracał i szukał.

— Jest jeszcze trzy grosze, rzekł wreszcie mocno zmartwiony; to razem będzie: cztery złote—zaraz—cztery złote groszy 43. Trzyście jest złą liczbą—ale mniejsza oto—zgubiłem, czy coś podobnego—albo może ukradli te łajdaki pod karpim. Resztę oddam później—z pewnością oddam, jak tylko mieć będę—tyczasem proszę wziąć choć to co jest.

Artur wahał się przyjąć, ale pan Ignacy wziął tę rzecz gorąco.

— Proszę brać, mości hrabio, rzekł nastrojając się do fantazy; nie myślę żebyś zechciał dodać nową obelgę do dawniejszych. Naucz się, że można być biednym, a jednak wartym cośkolwiek, i gdyby nie okoliczności...

Któż zgadnie, o jakich to okolicznościach mówił pan Ignacy? Były różne, ale sądzić się goździ, że wódeczka nie była jedną z podrzędnych—zwłaszcza w tym ostatnim razie.

— Jesteście więc biedni bardzo?

— Kto cię upoważnił zatrudniać się nami, mój panie? Nic ci do tego. Oddam, wierzyć mi możesz, więcej niż sobie samemu.—Ja bo przynajmniej nie zdradziłem nikogo.

— Panie Skalski—twarde są twoje wyrazy. Wspomnij sobie, żeśmy się zeszli z dobrej woli, i nie dla załatwienia w słowach tego, na co czynów już za mało... Chcę zrobić co jest jeszcze w mej możności; bądź godnym twój przewagi nademną i zostaw Bogu sąd i wyrok, bo nie możesz jednocześnie być we mnie i w sobie. Przyszłość może cię przekona inaczej niż myślisz w tej chwili, bo więcej tu już idzie o was, niż o mnie. Słyszałem żeście biedni bardzo. Słyszałem że Julian... Przez litość, powiedz mi, co się dzieje z Julianem?...

— Pytasz się, Kaimie, coś sam zrobił z twoim bratem?!

— Panie Skalski—przez litość—ja go widzieć muszę. Pan Ignacy uśmiechnął się gorzko, i dziwny jakiś blask strzelił mu z oczu.

— Dobrze. A więc właśnie i ja szczególnym trafem nie żyję sobie niczego lepszego. Zobaczycie się, nie dalej jak jutro—każdy z pistoletem w rękę—dziesięć kroków jeden naprzeciw drugiego.

Artur zbladł jak ściana i posiniały mu usta. Gdyby mu się była ziemia zapadła pod nogami, nie byłby się strwożył mocniej.

— To być nie może, wyszeptał nieśmiało.

— Wszystko być może na tym wesołym świecie. Sam dałeś dowód, że mogą być nawet rzeczy które być nie powinny.

— Posłuchaj mnie, panie Skalski. Ja i tak żyć już nie chcę—to może i wolałbym zginąć z ręki przyjaciela. Ale jeśli Bóg karzący zrzucił inaczej?...

— Bóg karzący dotyka tylko tych, co na próby wystawiali Jego miłosierdzie.

— Bywa różnie. Kto w czyją pierś godzi—własnej nadstawia. A jeśli podoba się Bogu zrobić mię jeszcze zabójcą Juliana?...

— Już nim jesteś oddawna—dobijesz go tylko—nie więcej. Zresztą, może sam zginiesz—Bóg będzie prowadził rękę niewinnego...

Artur pomyślał chwilę. W tej chwili, krótkiej jak błysk, stanęły mu w pamięci szczęśliwe czasy młodości, spędzonej w braterstwie z Julianem. Mała izdebka w facytacie—widok z jej okna—ogród w okolicy—wesołe słońce ponad tępym wszystkim i powietrze przejęte wonią zalatującą od pola—Julian pracujący przed stalugami z piosenką na ustach. I ujrzał tego samego Juliana, uśmiechającego się do niego i zarazem mierzącego mu w pierś... I wzdrzygnął się od tej myśli, i mimowolnie wyszeptał z oburzeniem jego usta:

— Nie, nie mogę chcieć tego—nie mogę.

— Hrabio Arturze—przysięgam ci na rany Boga żyjącego—to być musi i będzie!

Głos ten obudził go jak ze snu.

— Panie Skalski, rzekł z postanowieniem, biorąc starego za rękę; posłuchaj mię tylko cierpliwie. Słowa które powiem, są ostatnimi słowami człowieka wa niemającego żyć już więcej. Mając stanąć przed Bogiem—kłamałbym przecie nie chciał. Wierz mi—na nic wam to, przy czem się upierasz. Jedną zbrodnią więcej z mojej strony, lub pierwszą w życiu ze strony Juliana, który dotąd czysty jest cały—coż zyskanie? Ja wam ustąpię i bez tego. Zbrzydło mi życie. Przy wszystkich zawodach waszych niczem jest ten, który ja sobie wyszukałem, idąc do niego poprzez gwałty uczucia i obowiązków; niczem nędza wasza przy tej, dla której wyrzekłem się wszelkich bogactw spokojnego sumienia. Zostawcie Bogu wymiar sprawiedliwości. Niech wszystko złe zostanie przy mnie jednym, niech nawet krew moja spadnie na mnie—pocóż próżno broczyć nią niewinne ręce brata?

— A życie jego strute i zmarnowane za nicze się policzyć? wolał stary, nie wchodząc w żadne powody, a ja, który zostałem sam jeden na świecie—gorzej niż sam, bo z wiekującą troską o jutro nie dla siebie? który straciwszy wszystko co mię wiązało mogło do życia, zostałem jednak z życiem upartem, niepozbytym, a prawie niepodobnym do wiary, jak sen rozpasany? który żyjąc, czułem jak powoli gniję, plugawiej i padam w kawały? który nieustannie pytałem tylko siebie: kiedy skończy się to wszystko?—aż się wreszcie rozpiliem z rozpacz? Wróciszże Julianowi jego przytomność? Wróciszże mnie, spruchniałem, dawne soki żywotne, spokój, nadzieję, świętą duszę? Gdybyś nawet i zechciał—jestże to w twojej mocy? Nie. Już za późno—nic nie pomoże—giń ty, lub my! Bóg wybierze...

Artur uczył łyzy w oczach. Wspomniał na przeszłość i uznał, że ona wrócić nie może. Ujrzał tych ludzi takimi jakimi byli za pogody i ciszy—tak niedawniej niby, a tak już odepchniętą daleko,—i porównał ich z tępym, czem się stali. Usychające drzewo na podwórzu było także wesołe kiedyś, ale też i wokoło niego zielono było i świeżo! Dziś, gdyby mu wrócić nawet i uśmiechniętą okolicę w której wzrosło, i przewiewy odświeżające, i słońca w miarę, to i tak jeszcze w przejrzystej wodzie źródła, w której się przeglądało niegdyś, nie ujrzałoby się już tępym czem było...

Pan Ignacy spostrzegł to zamyslenie Artura, i nie poznał się na niem. On chodził tylko niespokojnie, nie spuszczać oka ze swego przeciwnika i podsycając się coraz więcej własną zaciętością. Oczy iskrzyły mu jak w gorące, drżały zapienione usta, a głowa pałała, jakby naraz uderzyły do niej wiewy wszystkie, co kiedy w życiu wypyl ten człowiek. Wreszcie porwał się z zaciśniętymi pięściami:

— Hrabio Arturze, zawołał poprzez zęby, zgrzytając kurczowo; przestań wahać się po stariej przyjaźni. Inaczej—skarż mię Boże—ale dowiedziesz jasno jak na dłoni, żeś tchórz, nie tylko złoźyńca...

Artur zadrzał i ocknął się.

Już i tak od pewnego czasu pan Ignacy coraz mocniej głoś natężał. Po odjeździe bryki furmańskiej, publiczność podwórkowa, szukająca coraz nowego zajęcia, przeniosła uwagę na żywą rozmowę toczącą się w izdebce. Poczęto się gromadzić coraz bliżej, skra-

dać się na korytarzu, zaglądać w okno i podsluchiwać pode drzwiami.

Artur, dotknięty do żywego, blady i drżący, uchwycił dłoń pana Ignacego i szepnął głucho, nie wiedząc prawie co mówi:

— A więc dobrze — przystaję na wszystko. Gdzie i kiedy?

— Jutro, o godzinie drugiej z rana, w lasku koło Zacisza. Pistolety sam przyniosę.

VII.

Hrabia Artur i Julian.

Była jeszcze noc prawie zupełna. Okrągły księżyc przeziarał przez drzewa, i raczej przy jego świetle, jak przy wątpliwym brząsku zorzy wschodowej, można było zajrzeć sobie w oczy. Pan Ignacy chodził niespokojny, raz wraz spoglądając na drózkę prowadzącą od gościńca; jedna z kieszeni bajowego jego surduta mocno była wypchana z boku, zapewne pistoletami.

I gdyby przy tępym oświetleniu, które mroczył jeszcze cień milczącej gęstwiny, rozpoznać można było szczegóły jakiegokolwiek, twarz tego człowieka, napiętnowana bezsennością nocy spędzonej przy butelce, a więcej jeszcze rozpustą moralną i pijaństwem duszy ziejącej niezblaganą zemstą, wyrażająca naprzemian: to szyderstwo szatańskie z postawienia na swoim, to znów wszystkie udreczenia niepewności;—twarz ta, obrzękła, a teraz jeszcze i wykrzywiona kurczowo, wydałaby się jadowitym grzybem, wykwitłym z plugawej pleśni na leśnym bagnie. Julian siedział na jakimś pnium ściętym, i zamysłony, rysował coś na piasku kawałkiem gałazki. On z bladą swoją twarzą, rozrzuconym włosom, ubiorem w nieładzie, wyglądał na wędrowca zablakowanego w bezdroży leśnej, który siadł na chwilę żeby spocząć, a potem pójść znowu, nie wiedząc gdzie i kędy, i na to tylko może, żeby zająć znowu na to samo miejsce...

Artur niezbyt długo dał czekać na siebie.

— Spóźniłem się nieco, rzekł nadchodząc; ale raczej przebaczyć. Od rozstania się naszego w dniu wczorajszym, nie straciłem ani chwili napróżno. Tyle tylko, ile potrzeba było do poczynienia niezbędnych rozporządzeń...

Na ten głos, tak dobrze sobie znany, Julian drgnął i obejrzał się w tej samej chwili.

— Artur! zawołał, i rzucił mu się na szyję; gdzieś był tak długo? zle mi było bez ciebie...

— Gorzej ci stokroć z nim, Julianie, rzekł pan Ignacy, odcinając go za rękę; oddawna nie jesteście już przyjaciółmi.

— Jakto nie? Więc i jego już niema?!

— Jest jeszcze, ale na to tylko, żeby ci nadstawił pierś, w którą mierzyć musisz, rzekł stary, kładąc mu w rękę pistolet.

— A jak go zabiję?

— To i on ciebie zabić może.

— On nie zechce. Co ja mu złego zrobiłem?

— Owszem. On chce cię zabić. Wszak chesz, hrabio Arturze?

— Chce, rzekł Artur ze łzami w głosie.

Julian spojrzął na obydwóch, zrazu jakby usiłując zaprzeczyć, ale wkrótce, czy przekonany o niemyślności ojca, czy też nie umiejąc trafić do ładu, potarł sobie czoło, spuścił głowę i dał się odprowadzić do mety. Pan Ignacy odmierzył dziesięć kroków, ustawił przeciwników i odszedł na bok.

— Raz—dwa—trzy!

Padł strzał jeden tylko—był on z ręki Juliana. Artur zachwiał się i przyklął, a potem przewrócił się na bok—krew rzuciła mu się ustami i nosem. Julian stał czas jakiś osłupiały, wreszcie rzucił się do niego i usiłował podnieść go, pełen żalu i śmiertelnej trwogi.

— Co to jest? Czy to ja to zrobiłem? rzekł zwracając się do ojca.

Artur poszukał jego ręki i uściśnął ją, zbierając na to resztę sił swoich.

— Uspokój się Julianie, rzekł z trudnością; to sprawiedliwość Boska kierowała kulą—byłbym sobie i bez tego życie odebrał—Bóg miłosierny nie chciał żebym był samobójcą—zegnaj cię—uciekajcie...

Pan Ignacy pociągnął z flaszki, podjął pistolet porzucony przez Juliana i zbliżył się, chcąc zabrać i drugi znajdujący się w ręku Artura; ale ten konwulsyjnie dłoń zacisnął i nie oddał. Tylko w chwilę potem zrobił wysilenie, skierował broń ku ziemi, poruszył kurek i wypalił w trawę prawie bez huku. Poczem, jakby mu na to tylko życia starczyło, zakrzuszył się krwią i skonał z jakimś niezrozumiałym słowem na ustach. Pan Ignacy znów usiłował odebrać mu pistolet, ale dłoń trupa trzymała równie mocno

jak wprzód, musiał więc zaniechać zamiaru. Zresztą nie było też i czasu do stracenia.

— Chodź—chodź ztąd, rzekł do Juliana, uprawiając go przemocą.

— A on? czyż tak zostanie?

— Zostaw go. On wróci.

— On nie wróci. Ja go zabiłem.

— On cię wprzód jeszcze zabił—chodź.

Obłąkany spojrzął w oczy ojcu, nie mogąc pojąć słów jego. Myślał, myślał,—wreszcie uwierzył.

Kiedy wychodzili z gęstwiny, księżyc wyglądał już tylko jak szmatka biała, a na wschodzie kilka przejrzystych obłoków, podobnych do pasm pajęczyny unoszonej wiatrem, rumieniło się od spodu ogniami słońca mającego się ukazać niezadługo. I księżyc wyolbrzątał niby ciało, zwolna krzepnące, póki się nie zrówna z chłodem ziemi, która je przynęca za swoje w obliczu słońca. Słońce też przyszło niebawem, ale księżyc był już wtedy plamką tylko roztapiającą się w błękitie. Przeszło poprzez liście kilka promieni ukośnych, które spoczęły na martwych zwłokach poległego w gaju, oświetliło drogę jego zabójcom i spóźnionej karcie wiejskiej wracającej z balu ozłociło uschły wierzchołek drzewa rosnącego w podwórku przy studni i obudziło ruch uliczny, podniecający się do życia własną swoją gorączką. I ponad tępym wszystkim, niby świątynia wędrownego życia, unosiło się świetlane sklepienie nieba, zgromadzając rozliczne sprawy ludzkie na przestrzeni jednego wspólnego padolu—pożłoczonego po wierzchu...

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRÓBA SATYRY.

Trudny opór!... pokusa i parzy i kole,
Bym poruszył oddawna zaniedbane pole.
Lecz mamże doświadczenie? mamże na to siły?
Czy warty plug nie pęknie u najpięniejszej bryły?...
Pokusa ani pyta!... dręczy niesłuchanie,
Chce mego wstydu!... Wstydu?... nie,—wstyd niech [zostanie]

Tym, co z trwożliwym sercem, z przerażoną twarzą,
Patrząc na ogrom pracy, tknąć się jej nie wazą;
Co przed czynem badają wśród spocętniej rzeszy,
Czy ich chęć pokonania trudu nie ośmiesz;
Tym wreszcie, co chcąc wszystko zdziałać w jednej [chwili],

Nie dokonawszy wczoraj, dziś nie powrócili.
Niech się wstydzą, bo lepszej nie warcę są doli,
Ja pójdę za takimi, co śpieszą powoli;
Może zachęcę innych—i siły wspólnemi
Spulchni się łono zdawna nieuprawnnej ziemi.
A jeśli ktoś odemnie zorze skibę prościć,
Zdolniejszego nie struję spojreniem zardzości,
Pomogę rzucić ziarno i z nadeszłą wiosną
Podziękuję z nim Bogu, jeśli kłosa wzrosną!
Więc spróbuję... Pokusol! zostawże mi ciszę,
Widzisz, już trzymam pióro, już siedzę, już piszę,
Patrzaj: „próba satyry“. Cześć, księże Ignacy!
Niech mi twój duch da krzyżyk na drogę tej pracy!

Pożyteczni.

Focyon odpowiedział Antypatrowi:
„Nie mogą być razem twoim przyjacielem i pochlębcą.“
Hist. Grec.

Do was obracam mowę, czasu marnotrawcy,
Bądź zasad Epikura troskliwi wyznawcy,
Bądź marzyciele owych utopij Platona,
Które myśl wykołysze... czyn ich nie wykona.
Stary tu ani młody, pan ni sługa prosty,
Jeśli zdołam, nie ujdą rymowanej chłosty,
A z kolei najpięniejszej tym niebacznym dotne,
Co marnują dni życia, skarby niepowrotne!
Ot, z całego ich tłumu, jeden Marek tylko
Sumiennie każdą swoją rozporządza chwilką.
Znając piękne przysłowie: „kto śpi, ten nie grzeszy“,
Dwie trzecie części roku snem się słodkim cieszy.
Prosto z łóżka do biura, z biura na obiadek,
Z obiadku znow do łóżka, w wieczór do sąsiadek
Lub sąsiadów, na plotki, preferans, wiska,
Gdzie się kogoś obmówi, coś przegra lub zyska,
Gdzie się sypie koncepta stare, płaskie, głupie,
Z których śmiech gwarną gawiedź aż po bokach lupie!
Tak żyć, to się nazywał Marek zdrów i tłusty,
Zdałby się na wystawę, albo na zapusty.
Czemu zdrów? bo ma rozum, ma oczy, ma uszy,
Rozumie, widzi, słyszy, że książka mózg suszy.
To też brzydzi się drukiem jak śmiertelnym grzechem,
To też z politowaniem, z pogardy uśmiechem
Słuchał jak się to ziarno gromadzi przy ziarnie,
Jak młodzież coraz chętniej do pracy się garnie.
— No! młodzież co innego... młodzież, to się znaczy

Że dla starszych preferans, książka dla smarkaczy!
Pan Marek i bez druku prosperować będzie,
I awans przed innemi zyska na urządzie,
I u miłych sąsiadów pożądanym bardzo.
Wprawdzie są dziwni ludzie, co prawie nim gardzą...
Powiadają: „to głupiec, kto go nie zna, kupi.“
Lecz Marek między takich cisnąć się nie głupi,
Ma rozum! bo i czasu próżno nie zagrzebie,
I nie zostanie głupim... wśród głupszych od siebie.

A Piotr?... i ten o sobie mówić nie pozwala,
Że zjada kaszę darmo. Zdatny na kowala,
Wziął się do astronomii! Także człowiek tęgi!
Patrzenie, jak on skupuje plany, globy, księgi,
Jak magnesową igłę ustawił na stole,
(A wie, że kiedy igła, więc zapewne kole...)
Jak sprowadził teleskop, przedmiot pryncypalny,
Mnóstwo soczewek, lunet, (oprócz teatralnej.)
Patrzenie jak go to wszystko zajmuje, zachwycę,
Już, po piętnastu latach, wie gdzie *niedźwiedzica*,
Już, jak dzisiaj na jutro suszę ci wydzwoni,
Szykuj łódkę i wiosło, będziesz pływać po niej;
Jak wykrzyknie: „ulewa!“ słońce mózg przepali;
A co to będzie dalej? gwałt! co będzie dalej?...
Tylko nim go zajęły sfery, hemi-sfery,
Nie przekonasz się dobrze czy dwa a dwa cztery?
Na co jemu początki? to rzecz nieślakoma...
Oh! z Piotra świat tęgiego zyszcze astronoma!
Piotr ma chęć... chęć ogromną! toć mu już tej chęci
Kowalski miech nie zdmuchnie, szrubstok nie wy-

kręci,

Co nie, to nie! Piotr woli z mozołu ogromem

Nie zostać ni kowalem, ani astronomem.

I Bartek pożyteczny. Ten pracował wiele,

Czytał, słuchał, przemyślał, zgłębiał życia cele,

I o mnóstwie ma rzeczy pojęcie tak zdrowe,

Że mógłby najkorzystniej dać poznać swą głowę

W biurze, handlu, przemyśle, lub w literaturze.

Czasem błysnie rozumem, niby gwiazdką w chmurze,

Lecz utnie wnet,—i więcej nie dopytasz słowa;

Milczy jak skamieniały. Więc na cóż ta głowa?

Daremnie zachęcany, odmową upartą

Dowodzi, że na świecie pracować niewarto!

A gdzie?!—twierdzi że świat go nie pojmie, nie zbada,

Że wśród ludzkich sądów, wzniosły duch upada,

Toż zamyka się w sobie. I mówi, Michale,

Że Bartek swego życia nie marnuje wcale,

Że i tak mu na grobie palną przyjaciele:

„Umiał, gdyby chciał robić, byłby zrobił wiele!“

Va bene! niech mu piszą, niech choć w tym sposobie

Kraj się dowiędzie że Bartek żył i leży w grobie.

Teraz z innej gromady: pierwszy lepszy z brzegu,

Szymon, co niby czynnie po dniach całych biega,

Co słońca, czy pogoda, w różne miasta strony

Kręci się, śpieszy, pędzi jakby oparzony.

Więcierz za czem tak wietrzy ten prze-zwinny kotek?

Za zbieraniem nowinek, rozsiewaniem plotek!

Gdzie ruszysz, Szymon wciśnię nos, uszy i oczy,

Pochwyci, doda, ujmie, skręci, przeistoczy,

Zrobi z wilka barana, z barana padalca,

W braku odgrzeje stare, zelże, wysysie z palca,

I niesie gdzie ciekawki, albo łatwowierni.

Wzniesi próżną nadzieję, spotwarzy, oczerni,

Poważni męża z żoną, kolegę z kolegą:

Ale Szymon nie winien, on nie czuje tego,

Często nie wie co plecie, jego żywioł—baśnie!

Niechże je zdrow roznosi, niech go piorun trzaśnie!

A Hipcio? piękny Hipcio, pieszczonego gagatek,

Syn najlepszego z ojców, najzaczniejszej z matek,

Hipcio, co siedem pochwał zyskawszy koleją,

Był chlubą profesorów, rodziców nadzieją,

Co miał zostać swój ziemi... eh! światła ozdoba—

Jak, po skończeniu nauk, pokierował sobą?

O! blizki ostatniego puściny tysiąca,

Gra, pije, dorózkami przechodniów roztrąca;

Pół go dnia pieczeniarsze objadają gwarni,

Pół spędza nad bilardem, w fajczarniej wędzarni.

Chcecie?... pod Melpomeny skierujcie kolumny,

Tam ślady, kędy Hipcio podążył rozumny;

Zobaczcie, gra i teraz!... mnie czas w dalszą drogę,

Boć przecie o Serwacym zamilcząć nie mogę,

O ruchliwym Serwacym, co chęcią usilną

Zawsze coś pragnie zdziałać—i wiecznie mu pilno,

I nigdy niema czasu. Spotkaj go na drodze,

A posłyszysz jak szybko, jak śpiesząc się srodze,

Naliczy ci projektów bez końca, bez miary,

Jakie miał, ma i jakie mieć będzie zamiary;

Co to on byłby zrobił, gdyby mu w złej chwili

Nie wydarli pomysłu, lub nie przeszkodzili;

Co—i jak?!—boć nie sztuka zrobić coś od biedy,

On robi jak nikt jeszczel—byle zaczął kiedy.

Ale cóż! raz rzecz ważną już miał zacząć przecie,

Nazajutrz, masz!... to samo palnął ktoś w gazetce;
Onegdaj do ważniejszej, w najnatchniejszym stanie,
Już siadł!—jest!... włoży Jędrzej, ciągnie na śniadanie!
Wczoraj już, już miał zacząć pod wrażenia siłą,
Stróż w piecu źle napalił—w izbie zadymilo,
I niemógł!—Lecz dziś za to sypanie myśli roje,
Dziś zacnie!... Że nie zacnie, macie gardło moje!
Zawsze znajdzie wymówkę w jakiejś ważnej tamie:
Ktoś go zajdzie, u biurka noga mu się złamie,
U sąsiada gość krzyknie, na podwórku dzieci,
Natchnienie w dzień feralny jak na złość przyłeci,
Wreszcie atrament wyschnie!—i nic, nic nie zacnie,
I tak życie na niczym zbiegnie mu nieznacznie.

A są, co w nim coś widzą, co się *spodziewają!*...

O! Hipciów, Marków, Piotrów, o! Serwacym zgraj!

Kiedyż i jakie słowo mózgi wam odeśmi?

Kiedyż być przestaniecie pajacami, dziećmi?

Kiedyż wam przyjaciele rzucą prawdę nagą,

Żeście ziemi ciężarem, społeczeństwa plagą?!

Kiedy i jakie ręce, jakiej siła duszy

Zamknie przed Szymonami drzwi, serca i uszy?!

Lecz prawda! pobłażliwość opinii choroba,

Umié ona oszczędzić, choć nie upodoba;

Często Piotra ochroni, Hipcia nie zdradnie,

Często nią Szymonowe pokierują baśnie.

Michał, co się nie kocha w głupcach, ni w butelce,

Mówi: „Hipcio utracysz, lecz gościnnie wielce!“

Stefan, co nigdy czasu na plotkach nie trawi,

Powiada: „plotkarz urwisz, lecz często *zabawi!*“

Ludwik, co niby nierad kroić na bluźnierce,

Mówi: „Marek to zero! lecz ma *dobrze serce!*“

A! chwalcie—że ich sobie, a! cieszyć się niemil!

Chwalcie mędrka, co wiedzy skarb zakopie w ziemi;

Pędźcie czas na słuchaniu zdań mléka pod nosem,

Wspartych ręką w kieszeni, w zębach papierosem;

Nie zwijcie próżnym trudem, godnym łez, pokuty,

Gdy szewc robi zegarki, a zegarmistrz buty;

Gdy Prot, co pokolenie pragnie kształcić młode,

Chce być nauczycielem, a wart nosić wodę;

Gdy Jan pół życia muchy wybija w mozołach,

Pół spędza przy obficie zastawionym stole;

Gdy Staś chce na prezesa, prosto z kancelisty;

Niel! to nie strata czasu, to zysk oczywisty!

Wy zaś, czynni od wschodu do zachodu słońca,

Wy, co prac nie umiécie zaczynać od końca,

Wy, wierzący że można wolą bezgraniczną

Po żdźbale piasku usypać górę niebotyczną;

Wy, co działacie z gruntu, z cierpliwością świętą,

Bez troski, czy skończycie sami rzecz zaczęta,

Czy przez waszych prawników będzie ukończoną,

Byle kiedyś służyła pro publico bono;—

Może powątpiewacie, śmiejąc się z tych kartek,

Czyli znajdzie się jeszcze taki Piotr lub Bartek?

Mniemacie, poświęceni pożytkowi braci,

Że już dziś bezowocnie nikt czasu nie traci?

Popatrzcie! gorszych jeszcze dojrzyście tysiące,

Oni rosą nie siani, jak grzyby trujące!

Oj! rosą!...—Lecz godziny i mnie szybko biega,

Muszę, wszystko rzuciwszy, iść do Serwacego.

Ten pożyteczny człowiek zapewne w kłopotcie...

Wszak wierzzył mi przed chwilą *nowych planów* krocie,

I już... już... już do czynu biorąc się rozpacznie,

Gotów wpaść w ostateczność:—jak nie przyjdę—za-

cznie!!

Jan Chęciński.

KRZYŻ W LESIE.

Dziewczyna.

Powiedz, mój oraczu, gdzie wioskowa droga?

Mateczka strudzona śród lasu usnęła,

A mnie swawolnicę zła pokusa wzięła

Biedz po dzikie kwiaty, tchnieniem Pana Boga

Żywione w brzoź cieniu,—więc teraz się biedzę,

Bo w gaju zaroślach ścieżki méj nie widzę.

Oracz.

Przykuty do pługa, być twym przewodnikiem

Nie mogę, dziecino! lecz weź się na lewo,

Za laskiem z leszczyny ujrysz uschłe drzewo,

Od drzewa, nad trzciną porośłym strumieniem,

Idź prosto—tam z dróżką spotkasz się w dąbrowie.

Dziewczyna.

Bóg zapłać! już idę.—Święci aniołowie

I twoja porada wróca mi matule.

A teraz na łące zebraczą koszule

Ubiorę w girlandy z lilii krynicznej,

W leszczynie orszaków dla mojej, dla ślicznej

Uzbieram, i wrócę z całusem gotowym...

(Błądzi powtórnie).

Mój Boże! Jam znowu w tym lesie świerkowym,
I chata spalona czernieje gdzieś w krzakach.
O matko, mateczko! zbyt długą godzinę
Ty śpisz; zbudź się! zobacz, jak biedną dziecino!
Zły duch ci gdzieś wodzi potych błędnych szlakach—
(postrzega krzyż na wzgórzu).

Tu krzyż stoi święty! więc złego anioła
Ten znak Boskiej męki odpędzi w otchłanie,
I łzawie strapionej sieroty wezwanie
Odegna sen twardy z matczynej czoła!
(Modli się, potem pogłąda w około siebie).

Hal! otóż i ścieżka, a w świerków bukiecie
Widzę rodzicielkę! szuka mnie stęskniona.
Matko, perło moje! znajduję cię przecie!
Zabłądziłam w lesie; lecz czarów zastłona,
Dłonią złego ducha rzucona na oczy,
Prysła u stóp krzyża...

Matka.

Z modlitwą i wiarą

Nigdy pielgrzym życia w bezdroża nie zbczy.
Idźmyż, córko moja, drogą ojców starą,
Nie zrywając kwiatów na pościel podróżną,
Nie biegnąc gdzie wabi cień uciech nietrwałych,
Lecz darząc swych bliźnich współtrudu jałmużną!
Lecz na ołtarz pański kładąc palmę chwały!

Edward Chłopiński.



Panu J. K. w Ostrowach. Redaktor główny Gazety Polskiej zakomunikował nam list pański. Trudno w istocie pojąć o co właściwie panu idzie: raz piszesz że chciałbyś, drugi raz że nie dbasz wcale. *Qui potest sapere, sapiat.* Co do przesłania brakujących numerów, nie jest to rzeczą redakcyjną, tylko wydawcy. Niepodobna jednak wymagać, aby ten ostatni blisko trzy tomy Tygodnika oddał na słowo nieznanemu, który w liście nawet podpisał się nie raczył. Samo to żądanie uważamy za niezmiernie naiwne.

Panom E. i J. * w Warszawie. Nadesłane wierszyki drukowane nie będą. O przyczynach wolimy nie rozpisywać się szczegółowo, nie mając miejsca ani czasu na ocenianie zbyt licznie napływających nam elukubracji.

Panu Aleksandrowi z Bratomięra. Żywo i zajmująco skreślone opowiadanie myśliwskie wydrukujemy, z małymi zmianami, skoro tylko znajdziemy na to miejsce. Dziękujemy za pamięć życzliwą i prosimy nadsyłać nam kiedy niekiedy dalsze ustępy w tym rodzaju.

Panu Józefowi K. we Ławowie. Dwa zadania szachowe odebrałszy i jedno z nich dajemy w dzisiejszym numerze. Dawniejszego zadania p. F. M. nie zamieściliśmy dlatego, że jest mat w trzecim posunięciu: 1) D 2 — E 3; E 5 — D 5 2) G 5 — F 6; E 6 — E 5 3) C 3 — C 4 + i mat.

Panu Wł. D. w Krzywcu osi. Uwagi pańskie zupełnie są słuszne, i zgadzamy się na to, że ogłoszenie ich byłoby nawet pożytecznym dla czytelników owego pisma. Delikatność jednak, którą pan niezawodnie zrozumiesz, nie pozwala nam wytykać usterek wydawnictwa zostającego z nami w pewnym stopniu rywalizacji. Jeżeli na to zezwolisz, możemy list pański przesłać redakcji interesowanej. O dalsze w innym rodzaju korresponde nycy, najuprzejmiejszy prosimy.

Panu Bolesławowi z Ukrainy. Za opis i rysunek serdecznie dziękujemy. Pan R. żadnych dotychczas fotografii z Ciechocinka nam nie przesłał.

Panu Aleksandrowi Tak sobie. Wartość poetycką nadesłanego nam utworu, jakkolwiek napisanego gładko i nie bez uczucia, najtrafniej określić można przybranym przez pana pseudonimem.

Bocianowi w Warszawie. Wypadki czerpane z kroniki skandalicznej życia prywatnego, do ogółu nie należą. Jeżeli prosimy czytelników o materiały do naszych sprawozdań tygodniowych, to idzie nam o fakta szerszego znaczenia, o rysy rzucające jakieś światło na stosunki społeczne, nie zaś o drobniaki lub brudy indywidualne, których tykać nie czujemy się w prawie. Radzibyśmy aby wszyscy życzliwi nam korespondenci zawsze o tem pamiętali.

Panu E. B. w Suchedniowie. Rysunek zamku w mowie będącego już posiadamy. Wdzięczni jednak panu będziemy, jeżeli zbierzesz co się da na miejscu; szczegóły historyczne dołączymy sami.

Panu Ad. R. w Opocznie. Wiersza p. n. „Sowa“ drukować z dedykacją niepodobna; bez dedykacji zaś staje się niezrozumiałym. „Złote czasy“, stosownie do życzenia pańskiego, odesłaliśmy redakcji Przyjaciela dzieci.

W drukarni J. Ungra.— Za pozwoleniem Cenzury.